NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 9 lutego 1907. Nr. 6.

Zabicie Grüna.

(Treść na stronie 2).



Treść numeru: Tajemnicza tragedya w banku. — Samobójstwo młodego dziennikarza. — Dla bezpieczeństwa miasta. — Ustępujący komendant twierdzy. — Skazani na wymarcie. — Klęska śnieżna. — Pociąg zasypany śniegiem. — „Pan Tadeusz“ — operą — Z tajemnic zakulisowych. — Zamach na naczelnika stacyi. — Nowe instytucye humanitarne w Przemyślu. — Gniazdo hajdamaczyzny we Lwowie. — Sensacyjny dramat w Londynie. — Miljoner morder . — Zjazd urzędników „Floryanki“. — Z karnawału. — itd. itd.

Zabicie Grüna.

(Do illustracyi tytułowej)

Najsensacyjniejszym wypadkiem ubiegłego tygodnia w Warszawie było niespodziewane zgładzenie przez rewolucyonistów słynnego Wiktora Grüna, naczelnika tajnych ajentów wydziału śledczego. Tego niesłychanie śmiałego zamachu dokonano w okolicznościach następujących:

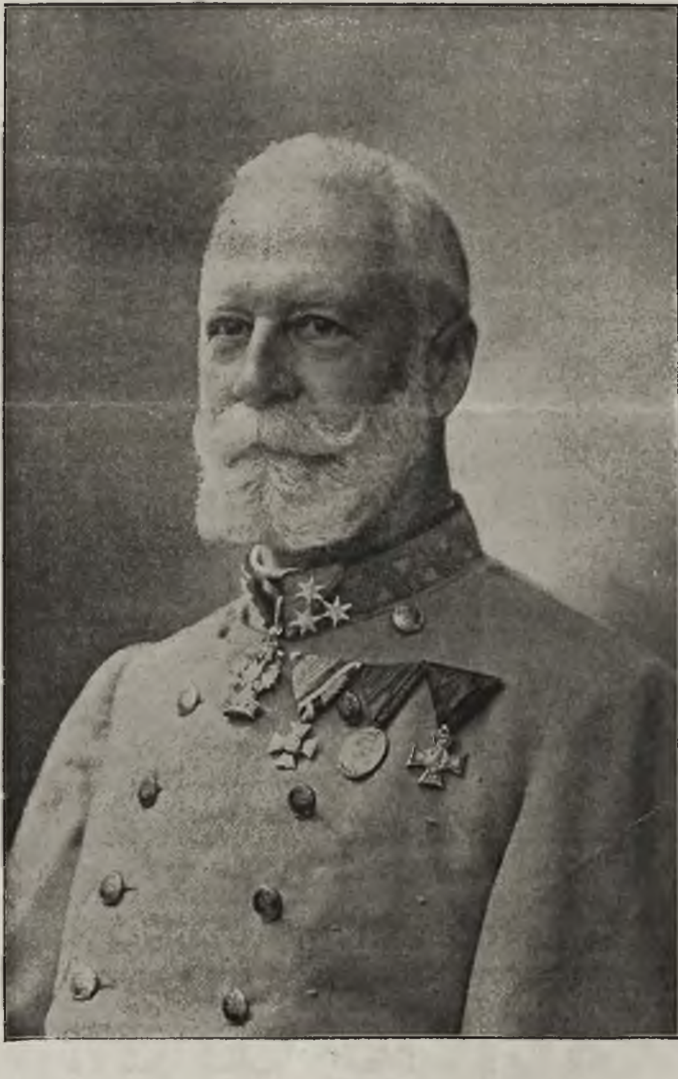
Grün z nieodstępnym mu ajentem policyjnym, znanym pod pseudonimem „Olek“, udał się w ostatni czwartek około 7 wieczorem do znanej łaźni Tow. akcyjnego na Nowym Zjeździe naprzeciw Zamku. Po kąpieli, nie przeczuwając nic złego, wyszli obaj na długą, prowadzącą z gmachu łaźni na ulicę, oszkloną werandę i zmierzali do oczekującej na nich przy chodniku dorożki. Olek, idąc pierwszy, musiał zauważyć coś niepokojącego, bo nagle, gdy mieli opuścić werandę, rzucił się pod stojącą dorożkę Przezorności tej zawdzięcza ocalenie, gdyż w tej chwili właśnie z obu stron wejścia do łaźni padły salwy rewolwerowe. Widocznie uczestnicy zamachu byli poinformowani dobrze o tem, że Grün bawi w łaźni i oczekiwali tylko jego wyjścia.

Podobno było ich tam do trzydziestu, w każdym razie padło naraz kul kilkadziesiąt, których część ugodziła Grüna ze wszystkich stron. Raniony zachwiał się i padł na stopień dorożki. Uczestnicy zamachu wobec tego natychmiast zbiegli, a Olek, wydostawszy się z pod dorożki, odwiózł konającego Grüna do najbliższego cyrkułu na Podwalu, lecz ranny zmarł już w drodze i do cyrkułu dowieziono tylko jego trupa.

Wieść o zabiciu Wiktora Grüna rozbiegła się po mieście tego samego wieczora, budząc powszechne zajęcie, ofiara zamachu bowiem należała do osobistości bardzo znanych w Warszawie. Syn zamożnego lekarza, w gimnazyum odznaczał się brakiem zamiłowania do nauki, a natomiast wielkim pociągiem do zabaw, na które obracał nawet pieniądze przeznaczone na wpisy szkolne. To też rychło rzucił studya i wyjechał za granicę. Wróciwszy do Warszawy, wstąpił z zamiłowania do wydziału śledczego, a jak się rychło okazało, miał niepospolite zdolności do tego właśnie zawodu.

Znał on wybornie od lat najmłodszych środowisko prostytucyi i alfonsów w Warszawie. Miał pamięć zadziwiającą, to też pamiętał dokładnie słabe strony i upodobania każdego recydywisty, sprowadzonego do policyi i właśnie na tem polu zdumiewające były jego wykrycia zbrodniarzy i morderców. Z pomocą wina i wódki wyciągał zeznania z alkoholików, nędzarzy zjednywał sobie nadzieją nagrody pieniężnej.

W kilku sprawach, w których mu powierzono przeprowadzenie śledztwa, popełnił Grün nadużycia tak znaczne, że wreszcie w sądzie skazano go na dwuletnie więzienie z pozbawieniem praw i odznak. Ale w chwili, gdy wyrok senatu stał się



Ustępujący komendant twierdzy: Chrystyan von Steeb, generał broni, dotychczasowy komendant twierdzy krakowskiej.

prawomocnym, Grün dokonał ważnego odkrycia: uwięził fałszerzy 500 rublówek.

Z powodu takiej zasługi udało się rodzinie wyjednać łaskę monarszą, poczem Grün uwolniony z więzienia przed ukończeniem terminu kary, wstąpił z powrotem do służby w policyi. Zrazu stanowisko jego w wydziale śledczym z powodów powyższych było dość niewyraźne, lecz z chwilą wybuchu rewolucyi zmieniło się, gdyż odtąd Grün zaczął oddawać policyi znaczne usługi. Kiedy sprawa katowania przez Grüna więźniów politycznych stała się głośną, pojawiła się w Dumie interpelacya w tej mierze. Jedna z partyj robotniczych posłała mu wyrok śmierci. Lecz Grünowi udało się wyłapać wszystkich uczestników tej organizacyi.

W śledztwie stanął między nimi a Grünem układ, iż bojowcy nie będą godzili na jego życie w przyszłości, jeżeli ich uwolni. Istotnie wypuszczeni zostali z więzienia Odtąd Grün pojawiał się na mieście i w lokalach publicznych bez silniejszej ochrony policyjnej, której przedtem musiał stale używać. Dopiero na kilka dni przed zamachem dostał ponownie wyrok śmierci podobno za to, że wszedł w porozumienie z jakimś Grabowskim, który miał ochotę wydać mu uczestników napadu na stacyę Rogów.

Bojowcy istotnie w krótkim czasie spełnili swą groźbę.

Wbrew przypuszczeniom, Wiktor Grün nie był ani Rosyaninem, ani prawosławnym, lecz, jak wykazał pogrzeb jego z kościoła na Lesznie, należał do wyznania kalwińskiego.

Ustępujący komendant twierdzy.

Stanowisko komendanta twierdzy jest podczas wojny nadzwyczaj niewdzięczne, bo jak uczy nas historya, każda twierdza zdobytą została, gdy tego życzył sobie naprawdę oblegający przeciwnik. Ale i w czasie pokoju jest to stanowisko, np. w Krakowie, wymagające od osoby, która je zajmuje, wiele taktu oraz znajomości ludzi i życia. Wprawdzie główną figurą w Krakowie jest generał komenderujący korpusem, jednakowoż nie ma on tak bliskiej styczności z mieszkańcami miasta, jak komendant twierdzy, który jest niejako jego gospodarzem z militarnego punktu widzenia.

To też władze kierujące wojskowe starają się zwykle powoływać do spełniania tej ważnej funkcyi komendanta twierdzy krakowskiej, osobistości, które swym charakterem, wiedzą i ogładą towarzyską dają gwarancyę, iż wywiążą się z niej w sposób należyty.

Taką właśnie osobistością jest ustępujący w stały stan spoczynku generał broni br. Chrystyan von Steeb, dotychczasowy komendant twierdzy krakowskiej, który zostawia u nas po sobie jaknajlepsze wspomnienia ze względu na takt, uprzejmość i przyjacielskość, jakie charakteryzowały jego postępowanie względem ludności cywilnej naszego miasta.

Ustępujący generał, imponująca a nader sympatyczna postać, liczy lat 60. W roku 1866 został mianowany porucznikiem, ukończywszy Akademię inżynierską w Wiedniu. Posuwając się ze stopnia na stopień, w roku 1895 doszedł do rangi generałmajora, przyczem powierzono mu kierownictwo wojskowego instytutu geograficznego. Wreszcie przed pięciu laty przeniesiono go na stanowisko komendanta największej twierdzy w monarchii.

Generał Steeb znany jest w świecie uczonych jako pierwszorzędna powaga w dziedzinie geografii i kartografii. Ogłosił drukiem liczne prace z zakresu tej umiejętności, a wiedeńskie Towarzystwo geograficzne mianowało go swym honorowym prezydentem, zaś węgierskie Towarzystwo geograficzne członkiem honorowym.

Jedną z ostatnich prac ustępującego generała jest dłuższy artykuł o „Ogniu piechoty“ ogłoszony w „Streffleura Mlt.-Ztg“, który to artykuł w sferach wojskowych zwrócił na siebie powszechną uwagę zarówno formą, jak i gruntowną znajomością przedmiotu, opartą na własnem doświadczeniu i wynikach ostatnich wojen.

Gniazdo hajdamaczyzny we Lwowie.

Śledztwo w sprawie pamiętnego zamachu hajdamackiego na uniwersytet lwowski przybrało rozmiary znacznie większe, niż pierwotnie przypuszczano. Prokuratorya państwa bowiem po zbadaniu aktów śledztwa policyjnego, wydała sędziemu śledczemu polecenie zawieszenia aresztu śledczego nad wszystkimi uczestnikami barbarzyńskiego napadu, których policya na miejscu czynu aresztowała, a następnie po spisaniu z nimi protokołu puściła na wolną stopę. Skutkiem tego polecenia nastąpiło w piątek ubiegłego tygodnia uwięzienie przeszło 100 akademików ruskich.

Rozpoczęto „obławę“ od ruskiego domu akademickiego przy ul. Supińskiego. Ruski dom akademicki, istniejący we Lwowie rok drugi, był właśnie gniazdem agitacyi hajdamackiej. Tam mie-



Fot. M. Münz Lwów.

Gniazdo hajdamaczyzny we Lwowie: Ruski Dom akademicki, w którym aresztowano uczestników napadu na uniwersytet.

szkało wielu ruskich akademików, a między nimi wielu uczestników burd uniwersyteckich, tam miała swój lokal „Akademiczna hromada", stowarzyszenie łączące w swych celach wedle statutów cele polskiej „Czytelni akademickiej" i „Bratniej pomocy". Stamtąd też wychodziła komenda co do wszystkich hajdamackich zajść we Lwowie W piątek raniutko, przybyło do tego gniazda hajdamaczyzny kilku komisarzy policyjnych, ajentów i policyantów. Zgodnie z wezwaniem sędziego śledczego uwięziono około 40 mieszkających w „domu akademickim" studentów ruskich, których udział w ostatnich zaburzeniach został stwierdzony i wszystkich ich odstawiono do sądu karnego. Równocześnie przeprowadzono najściślejszą rewizyę wszystkich uwięzionych, całego gmachu a w szczególności lokalu „Akademickiej hromady"; przy rewizyi nie znaleziono nic podejrzanego, a skonfiskowano jedynie księgi i protokoły ruskiego stowarzyszenia, a następnie, gdy stwierdzono, iż stowarzyszenie to przekroczyło granice działalności określone statutami, rozwiązano je i opieczętowano lokal.

Resztę akademikow aresztowała policya w liczbie przeszło 30 w ciągu dnia w mieszkaniach prywatnych, nadto zażądała w drodze telegraficznej od poszczególnych posterunków żandarmeryi aresztowania tych studentów, którzy po napadzie wyjechali ze Lwowa.

Wiadomość o aresztowaniu hajdamaków rozeszła się lotem błyskawicy we Lwowie, budząc ogólną sensacyę oraz uczucie zadowolenia, że przecież władze zamierzają ostro całą sprawę traktować i nie puścić bezkarnie tych nowych, niebywałych w cywilizowanym świecie, awantur hajdamackich, że zamierzają wreszcie stanąć w obronie polskości uniwersytetu, w obronie polskiej nauki.



Pociąg zasypany śniegiem: Lokomotywa, która 24 godziny przebyła w śniegu koło Dąbrówki.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne ruskiego domu akademickiego, gniazda hajdamaczyzny we Lwowie.

Pociąg zasypany śniegiem.

Na stacyi kolejowej w Sanoku, podczas szalonej wichury i zamieci śnieżnej w dniu 29 stycznia przybył pociąg osobowy ze Lwowa z opóźnieniem przeszło 4-godzinnem. Wypuszczono go z tej stacyi o 12·30 popołudniu w kierunku Jasła, lecz na przystanku Dąbrówka ugrzązł w masie śniegu, tak dalece, że mimo usiłowań maszynisty nie można było ruszyć naprzód, ani też cofnąć pociągu z powrotem. Położenie podróżnych było okropne, bo wicher bez przerwy miotał śniegiem, zasypując coraz bardziej wagony, w których pasażerowie nie mieli ochoty nocować. Upewniwszy się, że nie ma innej rady, zaczęli podróżni ponownie wysiadać i wracać do Sanoka sankami. Kogo nie stać było na odbycie tej kilkokilometrowej drogi sanną, odbywał ją z konieczności piechotą z tobołami. A tymczasem około pociągu pracował liczny zastęp ludzi, którym dopiero wieczorem udało się przy pomocy lokomotyw odczepić wagony osobowe i przewieść na dworzec sanocki. Samej maszyny zasypanego pociągu nie zdołano jednak ruszyć z miejsca. W objęciach olbrzymich zasp śnieżnych pozostała w polu do następnego dnia wraz z wagonem pocztowym, a przez noc śnieg zakrył je zupełnie. Dopiero nazajutrz udało się robotnikom odkopać lokomotywę i wagon pocztowy z pod zlodowaciałej skorupy i około południa, więc w 24 godziny po zasypaniu pociągu, dwie maszyny ruszyły je z miejsca i odwiozły do Nowego Zagórza.

Załączamy dziś dwa zdjęcia fotograficzne z owej fatalnej przygody pociągu lwowskiego w drodze między Sanokiem i Jasłem, nadesłane nam przez naszego korespondenta (M. H.), który był naocznym świadkiem kłopotów kolei z klęską śnieżną.



Pociąg zasypany śniegiem: Odjazd pociągu osobowego, po uwolnieniu go z zasp śnieżnych koło Dąbrówki.

Miljoner zabójcą.

Olbrzymie fortuny nie zawsze są zadatkiem szczęścia i moralnego powodzenia obdarzonych wyjątkowymi darami fortuny. Przeciwnie, nawet stwierdzić by można, że im wyżej ktoś jest postawiony na szczeblach drabiny socyalnej, tem łatwiejszy i przykrzejszy grozi mu upadek.

Nawet takim potentatom, jak amerykańscy miljarderzy, trafiają się nader przykre zajścia, jak to miało miejsce ze znanym miljarderem Harrym Thaw.

Harry Thaw młody i przystojny mężczyzna, zakochał się w młodej i nadzwyczaj przystojnej aktoreczce, pannie Evelyn Nesbit. Zanim wstąpiła do teatru, służyła panna Nesbit, jako słynna piękność niejednemu malarzowi i rzeźbiarzowi za modelkę. Nadto protegował ją szczególniej, pewien wybitny nowojorski architekt White i jemu to zawdzięczała panna Nesbit przyjęcie do teatru.

White, jakkolwiek był człowiekiem żonatym i i miał kilkoro dzieci, prowadził bardzo często poza domem wesołe kawalerskie życia. Raz podobała mu się ta, drugi raz inna, nic więc dziwnego, że po niejakim czasie, stosunek jego do panny Nesbit zaczął być coraz oziębłejszym, aż wreszcie opowiadano sobie już w nowojorskich sferach teatralnych, że White zerwał z Nesbit.

W tym czasie poznał kolejno pannę Nesbit miljarder Harry Thaw. Zapałali ku sobie miłością i wyjechali do Europy. Wreszcie w Londynie odbył się ich ślub.

Za powrotem do Ameryki, młodzi małżonkowie żyli bardzo szczęśliwie i byliby i nadal bardzo szczęśliwymi, gdyby nie White. Nie wiadomo czy powodowany miłością, czy też zazdrością względem swej dawnej przyjaciółki, zaczął ją zasypywać miłosnymi listami, które jednak wierna małżonka, nie otwierając wcale, oddawała mężowi· Harry Thaw odszukał White'a i oświadczył mu, że stanowczo zabrania mu pisywania podobnych listów do żony. Nie na wiele to jednak pomogło, bo White dalej, już nie tylko listownie, ale nawet osobiście, na każdym kroku narzucał się pani Thaw ze swoją miłością.

Nie mogąc dać sobie rady, zdenerwowany małżonek, aby uciec przed Whitem, zabrał żonę i po-



Milioner mordercą: Zabity przez Thawa architekt White.

dróżował po Ameryce i Europie. I to jednak nie wiele pomogło, White bowiem także jako kolosalnie bogaty, otoczył Thawów całą sforą tajnych detektywów, a wiedząc o każdym ich kroku, bądź to osobiście, bądź też listownie napastował młodą ko-



Milioner mordercą: Harry Thaw, zabójca White'a.

bietę ustawicznie swoją miłością, tak dalece, że zrozpaczona kobieta, nabawiła się nawet nerwowej choroby. Stosunek taki trwał przez czas nawet dosyć długi aż wreszcie musiał się skończyć tragicznie.

Dnia 25 czerwca z. r. udali się małżonkowie Thaw wieczorem do Music Hall, gdzie dawano operetkę p. t. „Szampańska Panna“. Zaledwie jednak usiedli, zjawił się w loży obok i White i zaczął coś mówić do pani Thaw.

Tego już było zrozpaczonemu małżonkowi za wiele. Przyskoczył wzburzony do White'a i wystrzelił doń 3 razy z rewolweru. White padł na ziemię bez życia. W teatrze powstała olbrzymia panika. Miljardera aresztowano i osadzono w więzieniu śledczem, w którem dotąd pozostaje.

Dzienniki nowojorskie donoszą, że rodzina Thawa wydała już wiele miljonów dolarów dla przygotowań do obrony. Thaw korzysta w więzieniu z wielkiej swobody, wolno mu czytać książki, dzienniki, palić tytoń, nadto codziennie odwiedza go matka i żona.

Żona Thawa zajmuje skromne mieszkanko i z wyjątkiem jednej przyjaciółki nie przyjmuje nikogo. Po odwiedzeniu męża w więzieniu, zamyka się i nie wychodzi nigdzie. Wybladła i zeszczuplała, pomimo to jednak piękność jej i teraz jeszcze jest uderzającą. Najciekawszem jest to, że teściowa Thawa a matka żony, w procesie, jaki się wkrótce rozpocznie, ma podobno świadczyć przeciwko mężowi a na korzyść zabitego White'a.

Proces ten w Ameryce zapowiada się nader interesująco i opinia publiczna już zawczasu zaczyna się nim interesować. Obydwie strony, tak rodzina Thawów, jak i White'ów nie szczędzi miljonów, aby tylko usposobić przychylnie dla siebie tę opinię, jest jednak przypuszczenie, że kara, jeżeli jaką wogóle Thaw otrzyma, będzie bardzo lekką, przysięgli bowiem będą mieli na względzie tak zwane „prawo niepisane“, według którego szerokie masy ludowe w Ameryce są przekonania, że oszukiwany mąż może zabić uwodziciela swej żony, zwłaszcza gdy tenże jest sam żonatym i w dodatku ojcem rodziny.

Nowe instytucye humanitarne.

Ludność żydowska miasta Przemyśla uczestniczyła 31 zm. w uroczystości otwarcia nowego szpitala fundacyi Eljasza Hirta i domu przytułku dla ubogich starców fundacyi Mojżesza i Chai Hirtów.

W uroczystym akcie wśród miejscowej inteligencyi wzięli też udział pp.: radca dworu starosta Lanikiewicz, burmistrz dr. Doliński, poseł dr. Tarnawski, lekarze sztabowi i przedstawiciele szpitala powszechnego i wojskowego. Po przemówieniu prezesa kahału dra Glanza o doniosłości nowej instytucyi humanitarnej, wyraził starosta Lanikiewicz podziękowanie obecnym spadkobiercom zmarłych przed rokiem fundatorów szpitala. Następnie burmistrz Doliński wyraził życzenie, by nowy szpital wraz z domem przytułku oddały ubogiej ludności żydowskiej w Przemyślu prawdziwe dobrodziejstwo. Po przemówieniach odprawił rabin Schmelkes uroczyste nabożeństwo dla ubłagania Boga o błogosławieństwo dla nowo powstałych instytucyj publicznego użytku.

Na budowę tego szpitala złożył fundator 7



Milioner mordercą: Pani Thaw.

tysiące koron, resztę dopłacił kahał miejscowy. Szpital jest urządzony wzorowo i odpowiada miejscowym wymaganiom hygieny. Zarząd jego objęli prymaryusze drowie Ehrlich i Kutna. W sąsiedztwie spitala znajduje się wspomniany dom przytułku dla ubogich starców żydowskich. W budynku tym złożonym z 16 ubikacyj, mieści się też świątynia żydowska.

Z okazyi otwarcia obu instytucyi załączamy grupę uczestników uroczystości, wśród których widzimy dygnitarzy przemyskich. Kobiety w pierwszym rzędzie stanowią rodzinę zmarłego fundatora szpitala.



Fot. Michał Todt w Przemyślu.

Nowe instytucye humanitarne: Uczestnicy uroczystego otwarcia nowego szpitala żydowskiego i domu przytułku dla ubogich starców w Przemyślu.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

9 Ciąg dalszy.

— Balu... a możeby odłożyć, a raczej zaniechać planu.

— Co to, to nie — zasyczał niemal — zginę, to zginę, a z próżnemi rękami nie wrócę do Warszawy. Nam potrzeba dużo, bardzo dużo pieniędzy... liczą na mnie.

— A więc spróbujemy... ale odradzam ci wplątania do tej sprawy... twej siostry.

Bal spojrzał trochę zdziwiony:

— Ona ma już wyznaczoną rolę, nikt nie może jej zastąpić.

Kola nachmurzył się i rzekł z ironią:

— Dlaczegóż ona ma być Elsinoe?

— Mylisz się Kola... Nie jestem Irydionem, a ona Elsinoe.. to zwykła służba dla idei mojego kraju.

— Niech będzie i tak — westchnął.

Obiad u Żegielskich był bardzo wesoły dzięki opowiadaniom Koli i Władysława o ich przygodach w mieście, o zabawie u Szaji i dzisiejszem śniadaniu.

Pani Stefcia tryumfowała że licytacya Landwerowa nie przyjdzie do skutku, a jej mąż powołując się na odebranie paszportów dowodził, iż wobec takiej czujności władz ruch rewolucyjny zostanie zgnieciony w bardzo krótkim czasie.

Po obiedzie gdy młodzi zostali na chwilę sami spytała Wanda niecierpliwie:

— Władziu, pamiętasz o twej obietnicy?

Skinął głową w odpowiedzi.

— Czy twój pokój zawsze w lewem skrzydle?

— Nie... śpię w gabinecie przy salonie.

— To bardzo dobrze... Mówiłaś, że masz tu wiernego stangreta, czy dałby ci konie na żądanie?

— Może.. ale nigdy nie żądałam jeszcze.

— Więc idź i zapytaj czy da ci konie dziś wieczorem do miasta bez wiedzy Żegielskiego.

Już Wanda wstała, gdy Kola zawołał:

— Zaczekaj pani... Zważ Balu, że nawet Wasyl Wasyliewicz pochwyci ślad sprawców. Stangret będzie czekał na konie, ktoś go zobaczy, stróż posłyszy, pan Żegielski zacznie dochodzić... i sprawa wykryta.

— Tak, masz słuszność... jesteś w tym razie bardzo przewidujący... Cóż radzisz robić?

— Nie wiem.. to zależy od roli pani — spojrzał porozumiewawczo na Bala.

— Czekać z końmi przed budynkiem ci znanym.

— Więc... więc... kup parę koni z wozem.

— To dobry plan, ale kupić?... kupić?... za mało mam — wyjął pugilares i liczył — razem sto pięćdziesiąt, a czeka mnie gra i ugoszczenie... nie, nie mogę kupić.

— Mam pięćdziesiąt, bierz — wyjmował Kola pieniądze.

Właśnie nadszedł Żegielski i zdziwiony zapytał:

— Cóż to za handle urządzacie?

Zanim zdążyli odpowiedzieć rzekła Wanda:

— Władziowi zabrakło pieniędzy, a pan Czerniejew ofiarował się z pożyczką.

— A, tego się niespodziewałem — oburzył się szczerze — więc mi nie ufasz? traktujesz jak obcego... Teraz musisz wziąć... ile ci potrzeba?

— Dwieście rubli, z Warszawy odeszlę ci natychmiast... a nie mówiłem ci o pożyczce, bo dopiero przed chwilą naradziłem się z Kolą w pewnym interesie.

— Możesz mi powiedzieć?

— Jeden z naszych przyjaciół potrzebuje drzewa budulcowego i właśnie dziś otrzymałem dobrą ofertę.

— Czy pewną?

— Towar gotowy... idzie o zadatkowanie.

— Przyniosę ci zatem pieniądze — i mówiąc to wyszedł z pokoju.

— Zatem słuchaj Wandziu... O godzinie dziewiątej wyjdziesz niepostrzeżenie przez salon z domu... Na drodze do miasteczka spotkasz wóz czy bryczkę z końmi... Michał będzie powoził, ten którego ukrywaś...

— Wiem, cóż dalej? — spytała z błyszczącemi oczyma.

— Wsiądziesz i zatrzymasz konie opodal koszar strażników... wiesz, przy tej karczmie niskiej... o dziesiątej będę sam po ciebie, albo przyszlę kogoś... To, co otrzymasz odemnie, zawieziesz do siebie, a dwóch towarzyszących ci robotników odjedzie z końmi w inną stronę.

— To wszystko? — spytała z pewnem rozczarowaniem.

— Wypełnij tylko dobrze — uśmiechnął się.

— A przedewszystkiem bądź pani ostrożną... rzecz pachnie śmiercią lub katorgą... i tajemnica najściślejsza.

— Więc to naprawdę coś poważnego? — zaświeciły się jej oczy.

— Nawet bardzo niebezpiecznego — rzekł Kola z powagą.

— No nareszcie! — uśmiechnęła się uradowana.

— Proszę cię Wandziu, uprzedź Michała, aby czekał na nas na drodze do miasteczka.

Żegielski wrócił i wręczył pieniądze.

— Dziękuję ci — schował i spojrzawszy na zegarek: dodał — prosiłbym cię o konie, już piąta dochodzi.

— Masz czasu dosyć, przecież na ósmą zaprosiłeś naczelnika.

— Tak, lecz przedtem mam do załatwienia to i owo, a jutro muszę być w Warszawie.

— Kiedyż przysłać konie po was?

— Kiedy?... jak sądzisz Kola, chyba o dziewiątej wstaniemy?... więc przyszlij na dziesiątą.

Jadąc z powrotem spotkali na drodze Michała, który z uśmiechem radości powitał Bala i wsiadł na kozioł obok stangreta.

Miasteczko rozłożyło się w dolinie, przez którą przepływała rzeka, błyszcząca w promieniach popołudniowego słońca. Miasto było ciche, senne, otoczone domkami i dworkami, których białe ściany przeświecały pomiędzy drzewami. Wieże kościoła lśniły w słońcu, a w dole ciągnęły się szare dachy skupionych domostw. Melancholia równin i cichej jesieni z roślinnością zamierającą, udzieliła się i patrzącym.

Milczeli, a oczy ich wypatrywały uporczywie budynku kasy skarbowej, który miał być niemym świadkiem przygód dzisiejszej nocy. Zdawało się im, że odczytają z niego zsgadkę przyszłości, która ich w tej chwili pochłaniała. Dom ten, wśród drzew, okrytych barwnemi, jesiennemi liśćmi, miał wygląd posępny, szyby okien miały w słońcu odblaski krwawe, a jedynym człowiekiem, rysującym się ciemną sylwetą na białej ścianie był żołnierz uzbrojony w karabin, którego lufa i karabin błyszczały srebrnawo.

Bala opadły wątpliwości w pomyślny koniec wyprawy i spojrzał w oczy przyjaciela, szukając u niego otuchy, lecz zamiast niej dojrzał wielki smutek w czarnych oczach. Bal, chcąc odepchnąć gnębiące go myśli, uśmiechnął się z przymusem:

— Boisz się? — spytał cicho.

— Nie o siebie — mruknął Kola po chwili — a gdzie ta karczma?

— Dojeżdżamy — wskazał na zaniedbany, brudny dom ze szyldem, na którym malarz usiłował przedstawić wielki kufel z pieniącem się piwem.

Przed karczmą stał wózek zaprzężony w zmęczoną szkapę, która zmrużywszy oczy patrzała obojętnie na grzebiące kury.

Drzwi otworzyły się i na progu karczmy stanął strażnik ziemski. Ręką przysłonił oczy od promieni słońca i bacznie patrzał na jadących; poznawszy jednak konie i powóz, salutował uprzejmie.

— Zły znak — szepnął Kola i w myśli widział Wandę schwytaną ze złotem, skrępowaną, bitą batami, zniesławioną...

I tak bardzo przejął się tym obrazem, że postanowił skłonić Bala, aby misyę Wandy powierzył jemu. Zanim powiedział, spojrzał na towarzysza. Zaciśnięte usta, dwie głębokie prostopadłe zmarszczki między oczyma patrzącemi surowo, zniechęciły go do rozmowy, postanowił więc czekać sposobniejszej chwili.

Już wjeżdżali w miasto, gdy Bal zawołał na stangreta:

— Stój... pójdziemy pieszo, a ty wracaj do domu.

Szli w milczeniu ulicą zalaną słońcem zachodzącem, pełną kurzu i śmieci, wyrzucanych z przyległych domów Bal dojrzawszy blaszane talerzyki golarza, rzekł:

— Towarzyszu Michale, idźcie do golarza, niech was ogoli, ostrzyże, oczyśćcie ubranie i przyjdźcie do zajazdu bocznemi uliczkami.

Szli dalej w milczeniu.

— Kola... to koszary strażników.

Spojrzeli badawczo na długi dom parterowy. Przez otwarte okna dojrzeli strażników w izbie. Jedni leżeli na tapczanach, inni czyścili broń, a któryś z nich nucił ochrypłym głosem pieśń żołnierską.

— Ach ten Dymitrow — szepnął Bal.

I w tej chwili wychyliła się z okna twarz strażnika, surowa, z wąsami sterczącemi, z małemi bokobrodami, a wąskie przenikliwe oczy patrzały badawczo. Na epoletach i rękawach widniały naszywki złote.

— Może to i on — rzekł zcicha Kola — ma odznaki starszego.

— A gdyby z nim pogadać — szepnął Bal.

— Zwaryowałeś! W koszarach?!

Bal zwrócił się ku oknu i przemówił po rosyjsku:

— Czy nie byłby pan tak dobry i wskazał mi mieszkanie naczelnika straży ziemskiej?

— A wam na co? — spojrzał podejrzliwie.

— Chciałbym mu złożyć wizytę.

— Wy? — patrzał bacznie w oczy.

— Wasyl Wasyliewicz Pietuszok mój dobry znajomy i chciałbym się upewnić, czy będzie z nami na kolacyi dzisiejszej.

Gdy strażnik posłyszał nazwisko przełożonego, z dodatkiem znajomości, starał się nadać swej twarzy wyraz uprzejmości i rzekł.

— Mieszkanie pokażę... ale upewniam, że nic nie będzie z dzisiejszej kolacyi.

— Dlatego chcę zapytać, bo obiecał nam, że przyjdzie.

— Nu, idę do miasta, to pokazać mogę, zaczekajcie chwilkę — i odszedł od okna.

— Kola — szepnął Bal — oblicz odległość koszar do kasy.

— Czy jednak pójdziemy do niej — i wskazał na dalszą ulicę boczną, przy której wznosił się budynek kasy, zasłonięty na razie innymi domami.

— Zdaje mi się, że słyszałem, iż on mieszka w okolicy kasy.

Wyszedł strażnik i wraz z nim szli w kierunku rynku. Bal spytał ze współczuciem, czy służba jest ciężka, czy odpoczynki są częste?

— Nie daj Boże, jak ciężko, — westchął strażnik — dawniej było lżej, ale od kiedy nastali rewolucyoniści, to ni dnia, ni nocy spokojnej.

— Ej, chyba w tym powiecie nie ma rewolucyi.

— Jeszczeby też, my tutaj to spokojnie, ale trafi się przejezdny czasem, oj pasy z nich drzeć, wieszać, aby raz był już spokój.

— A pan dawno był na objeździe?

— Wczoraj wrócił człowiek stłuczony, zmordowany... a tu w nocy budzą do służby.

— Za to dzisiaj pan odpocznie.

— Czort z odpoczynkiem — splunął gniewnie — i dziś służba.

— To naprawdę męka, czyż niema nikogo na zmianę?

— Iii, prosty strażnik chrapie i śpi, ale taki jak ja, odpowiada za wszystko, gdzie tylko ciężko, to musi iść Dymitrow.

Balowi zaświeciły się oczy potraktował Dymitrowa papierosami:

— No, no, nie wiedziałem, że taka męcząca służba.. ale chyba w nocy trwa godzinę najwyżej...

— Tak sądzicie — śmiał się — ot, dziś na ten przykład, dobrze będzie, jeśli nad ranem zasnę...

Strażnik wskazał dom i odprowadziwszy ich do furtki od ulicy wskazał:

— Tu mieszka pan naczelnik... wola wasza, ale że nie pójdzie z wami, o tem wiem dobrze.

Bal z Kolą weszli do domu, pozorując swe przyjście chęcią złożenia wizyty. Naczelnik obiecał powtórnie, że będzie na kartach, był bardzo uprzejmy i dowiedział się mimochodem od Koli, że jakiś strażnik wskazał im jego mieszkanie.

Na ulicy rzekł Bal:

— Za dwadzieścia szósta, może nie zdążę zobaczyć się z Marcelem, więc pójdź ty. Znajdziesz go przy kościele, dowiesz się szczegółów i powiesz, że nie Saleckij jest na odwachu, lecz Martynow, niech on zawiadomi Młota.

— Dobrze... czy znajdę cię w zajeździe?

— Będę później, teraz idę po konie.

Po rozstaniu Bal wyjął notes i poszukał towa rzyszy danych mu w Warszawie przez Nestberga

a następnie spytał jednego z przechodzących żydów, gdzie mieszka Icek Zweigbaum.

— Pan mówi Zweigbaum?... Icek?... my mamy dwóch takich, o którego pan pyta? Jeden handluje zbożem, a drugi skórami, do którego pan chce?

Bal zajrzał do notesu, lecz nie znalazł potrzebnych szczegółów.

— Niech pan powie co za interes, a ja panu powiem, który to dobry dla pana. Czy źle mówię? Już ja się domyślam, że panu potrzebny ten od zboża. Czy nie tak?

— Istotnie tak.

Żyd podał dokładny adres, a Bal znów zapytał:

— A wie pan, gdzie mieszka Chaim Nuss?

— Na, ten mieszka nie daleko — i opisał dom — ale to stolarz. Może pan potrzebuje mebli?...

— Nie... chcę obstalować ramy.

— Ja sprzedam tanio... mam gotowe. Czy to nie wygodniej?

Z trudnością pozbył się żyda i poszukał Chaima Nussa.

Przez brudną, wilgotną sień wszedł na podwórze zawalone deskami, heblowinami, trocinami a w głębi stały wpadnięte w ziemię ściany oficyny.

Z prawej strony była mała izba mieszkalna z kuchnią, z lewej warsztat stolarski. Przez otwarte drzwi izby dojrzał Bal nędzne umeblowanie i kilkoro dzieci, przypatrujących mu się ciekawie. Matka ocierając mokre ręce fartuchem spytała:

— Czy wielmożny pan do stolarza?

— Tak jest... do Chaima Nussa... Czy jest w domu?

— On jest; ja go zaraz zawołam, czy wielmożny pan chce coś obstalować?—spytała z uśmiechem radości.

— Mam interes.

— Niechże wielmożny pan siada — podała stołek — on bardzo się ucieszy z obstalunku, teraz takie ciężkie czasy... Ja biegnę po niego, on zaraz będzie... Cicho dzieci! Sza!

Dzieci zbiły się w kupkę pod ścianą a po wyjściu matki najmłodsze zaczęło krzyczeć, inne zawtórowały i dopiero uspokoiły się cokolwiek, gdy obiecał pierników i wyszedł z izby.

Po chwili wszedł szybko na podwórze Chaim ze zdyszaną żoną, która znikła w izbie. Był to żyd niski, barczysty, blondyn piegowaty, z gęstą, rudawą brodą. Skłonił się nisko, pytając:

— Czego wielmożny panie?

Bal widząc jego ubóstwo, nie miał odwagi powiedzieć mu wprost z czem przyszedł i rzekł:

— Potrzebuję ładnej skrzyni mocnej, dwa łokcie długości, na łokieć wysokiej.

— Na kiedy? Może być jutro.

— Bardzo dobrze, o cenę nie pytam, bo wiem, że mnie nie skrzywdzicie towarzyszu.

Chaim łypnął oczyma, jak człowiek uderzony światłem, odstąpił trochę, zmierzył badawczo gościa i dodał z uśmiechem przyjacielskim:

— Ja nikogo nie krzywdzę, tembardziej towarzysza.

— Widzę, że dano mi dobry adres — i zrobił ruch do podania ręki.

— Schowaj pan rękę — szepnął Chaim — tu są oczy.

— Wielmożny pan — mówił głośno Chaim — chce zobaczyć towar? Dobrze, on jest w warstacie...

Gdy obaj weszli do niskiej, wilgotnej izby, Bal przemówił:

— Za dwie godziny potrzebuję bryczki lub wozu z parą koni... bez furmana... chcę kupić. Możecie mi pomódz?

— Módz, mogę... ale po co zaraz?

— To sekret, a wam towarzyszu wystarcza, że za dwie godziny musi być wóz z końmi.

— A gdzie pan chce jechać? przecież nie do Warszawy?

— Konie potrzebne tylko na tę noc.

— Tak?... To ja panu powiem co innego. Ja wezmę na noc parę koni i bryczkę, ja się zgodzę, pan zapłaci. A gdzie te konie będą jutro? A może ja sam pojadę?

— Nie towarzyszu, jechać nie możecie, to sprawa niebezpieczna i sekretna. Konie mogę zostawić w Czyżewie, albo gdzieś po drodze.

— Hm... a kto wam dał mój adres?

— Dostałem od towarzysza Nestberga.

— On sam wiedział o mnie? — zawołał z błyszczącemi oczyma.

— Tak jest, on mi dał.

— Nu, kiedy on, to ja słucham. Konie będą, gdzie zajechać?

— Przyjdzie do was towarzysz Michał, jemu oddacie konie do ręki o dziewiątej godzinie, a gdzie mają być jutro?

— Ten co będzie jechał, niech się pyta o zajazd Nuchima w Czyżewie, ja tam będę. Czy dobrze?

— Zgoda, a tu daję wam towarzyszu na rachunek sto rubli.

— Po co sto? Ja za konie i bryczkę może zapłacę pięć, może dziesięć rubli. Ja nie chcę sto rubli.



Tu mieszka pan naczelnik...

— Więc bierzcie dwadzieścia pięć, bo będziecie mieli wydatki.

— Co za wydatki?... wystarczy rubel.

— Bierzcie — podał papierek dwudziesto pięcio rublowy — dziś koleją jedźcie do Czyżewa... a z końmi bardzo ostrożnie poczynajcie, nikt nie powinien wiedzieć, że były oddawane.

— Ja to wiem, bądźcie spokojni... ja biorę te pieniądze, będą na skrzynię, a może niepotrzebna?

— Potrzebuję i przyjdę po nią... a gdyby koniom coś się stało, odpowiada Nestberg, napiszcie do niego.

— Ja to wiem. A kiedy przyjdzie do mnie ten drugi towarzysz?

— Michał będzie o ósmej.

— To dobrze... A teraz powiedzcie mi panie czy nasza robota idzie? Czy będzie nam lepiej?

Bal upewnił go o rozwoju i pracy partyi, a uradowany Chaim, pragnąc słuchać pocieszających nowin odprowadził Bala do zajazdu.

Tuż przed zajazdem, jak gdyby z pod ziemi zjawił się starszy strażnik Dymitrow a pokłoniwszy się spytał:

— „Nu gaspadin, pryjdiot gaspadin naczelnik k' wam".

— „Da, obieszczał".

— „Nus, charaszo, ot spokojna nocz; ale skażit na wierno?"

— „Dał czestnoje słowo".

— „W'ot charaszo... do swidania gaspadin" — i salutował.

Wchodzącego do pokoju spytał Kola:

— Konie są?

— Będą.

— Słuchaj Balu... ja zastąpię twoją siostrę — a widząc przeczący ruch prosił: — przynajmniej pozwól mi być w pobliżu.

— Co ci się śni? Ty jesteś konieczny przy grze, ani na chwilę nie opuścisz naczelników... Nie ma o czem mówić, byłeś o szóstej?

— Ledwie poznałem Marcelka, tak go zmienił mundur... Towarzysze gotowi, o dziesiątej będą w pobliżu kasy.

— Dobrze... a Michał był?

— Czeka w szynku zajazdu.... pójdę go zawołać.

— A wiesz Kola, zdaje się, że strażnicy prześpią się dzisiaj.

— Mówiłeś?

— Tak sądzi Dymitrow.

— To i lepiej — wyrzekł Kola.

Uwiadomiwszy Michała, gdzie ma iść po konie, kiedy wyjechać i gdzie czekać na Wandę, zwrócił się następnie do Koli:

— Chodźmy do resursy Szaji, trzeba urządzić przyjęcie i trunki.

IV.

Z uderzeniem ósmej godziny zeszli się zaproszeni w salce u Szaji, a widok stołu zastawionego przekąskami i flaszkami rozjaśnił twarze naczelników.

Zaczęło się od wódki, a już około dziewiątej zabawa tak postąpiła, że podochocony sztabskapitan Jegorow zaproponował, aby zaprosić jego znajomego oficera kozaków, którzy dziś przyszli po południu do miasta.

— Hm... kozak — skrzywił się Wasyl Wasyliewicz — u nich szczupła kieszeń, a gardło szerokie.

— Ot prawdę powiedział—śmiał się naczelnik — mamy honorową kompanię, po co nam kozaka?

— Na, jak nie, to nie i zaczynajmy, bo szkoda czasu.

— A możeby na początek zagrać winta? — zaproponował Kola w nadziei, że ominie go gra.

— Dlaczego nie? można i winta — uśmiechnął się łaskawie naczelnik — ale nas pięciu a wychodnemu będzie smutno.

— Albo niema się czem zabawić? — wskazał Kola na zastawiony stół.

— Wint dobry dla starych — śmiał się Jegorow — a dla nas „krótki..." Czy nie tak panowie?

— Co dużo gadać, sztos panowie — zawołał Wasyl Wasyliewicz — ja przyszedłem na rewanż w sztosa.

Na razie gra szła dość ospale, naczelnicy i oficer byli ostrożni, pierwszy Bal zaczął ryzykować i kilkakrotnie zawołał: „Va banque!" zawsze nieszczęśliwie. Z początku szczęście sprzyjało naczelnikowi i przy nim wzrastała ilość złota i papierów, natomiast Wasyl Wasyliewicz dotychczas ani razu nie wygrał. Napróżno okręcał się z krzesłem w około, brał karty lewą ręką, siadał bokiem, grał stojąco, karta nie szła. Wypił z rzędu kilka wódek wreszcie zirytowany zawołał:

— Napewno siedzę pod belką—i spojrzał gniewnie na sufit.

— Nie powieszą was Wasylu Wasyliewiczu — zaśmiał się Jegorow — szubienica dla socyalistów i innej swołoczy.

— Już pięćdziesiąt rubli dyabli wzięli! — zaklął w odpowiedzi na ten żart.

— Dobry nos mieliście — zaśmiał się naczelnik — wymawiając się służbą od tej gry... no i jakże smakuje wam ta służba!?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Klęska śnieżna.

Zima tegoroczna zostanie na długo pamiętną dziwactwami przyrody. Nie dawno temu niemal całą Europę nawiedziła istna klęska w postaci syberyjskich mrozów, które przez szereg dni dawały się we znaki krajom przywykłym do zim stale łagodnych, a dokuczyły strasznie ludności zwłaszcza biednej w krajach, gdzie przyzwyczajono się wprawdzie do mrozów, ale gdzie tylko raz na kilkadziesiąt lat zdarzają się wypadki spadania temperatury do 25 stopni Celsiusza.

Ledwie odetchnęliśmy po takich mrozach, w czasie których wszelkie życie zamierało w miastach, mimo karnawału, a już nowa klęska żywiołowa spadła na nasz kraj jednocześnie z zagranicą w postaci olbrzymich opadów śniegu. Od szeregu dni sypie i sypie bez końca do tego stopnia, że w różnych stronach kraju pociągi stanęły w drodze, a skutkiem dalszych zasp musiano gdzieniegdzie przerwać na pewien czas komunikacyę. W okolicach Sanoka i Krosna są wsie zasypane po same dachy, że widać tylko kominy sterczące nad polami śnieżnymi... W samym Krakowie jeszcze nas nie zawiało po dachy kamienic, ale jeżeli tak dalej będzie sypało, jak w chwili, gdy to piszemy, gotowiśmy dzielić ten sam los, co przedmieście Dukli, Łąki, gdzie między zasypanymi domami komunikacya odbywa się przez tunele w śniegu...—Tymczasem, póki jeszcze nie jest tak źle, gospodarz miasta, magistrat krakowski, robi co może, by ułatwić ruch na ulicach. Ponieważ nie starczyłoby mioteł ni rąk, służba miejska pomaga sobie pługiem specyalnym przy usuwaniu śniegu z bruków. Załączamy właśnie fotografię, na której widać pług magistracki przy robocie na ulicach wzdłuż plant, przedstawiających od kilku dni bajeczny widok, niby Zakopane zimą.



Fot. W. Lis.

Klęska śnieżna: Zamiatanie śniegu z ulic Krakowa pługiem magistrackim.



Fot. W. Lis.

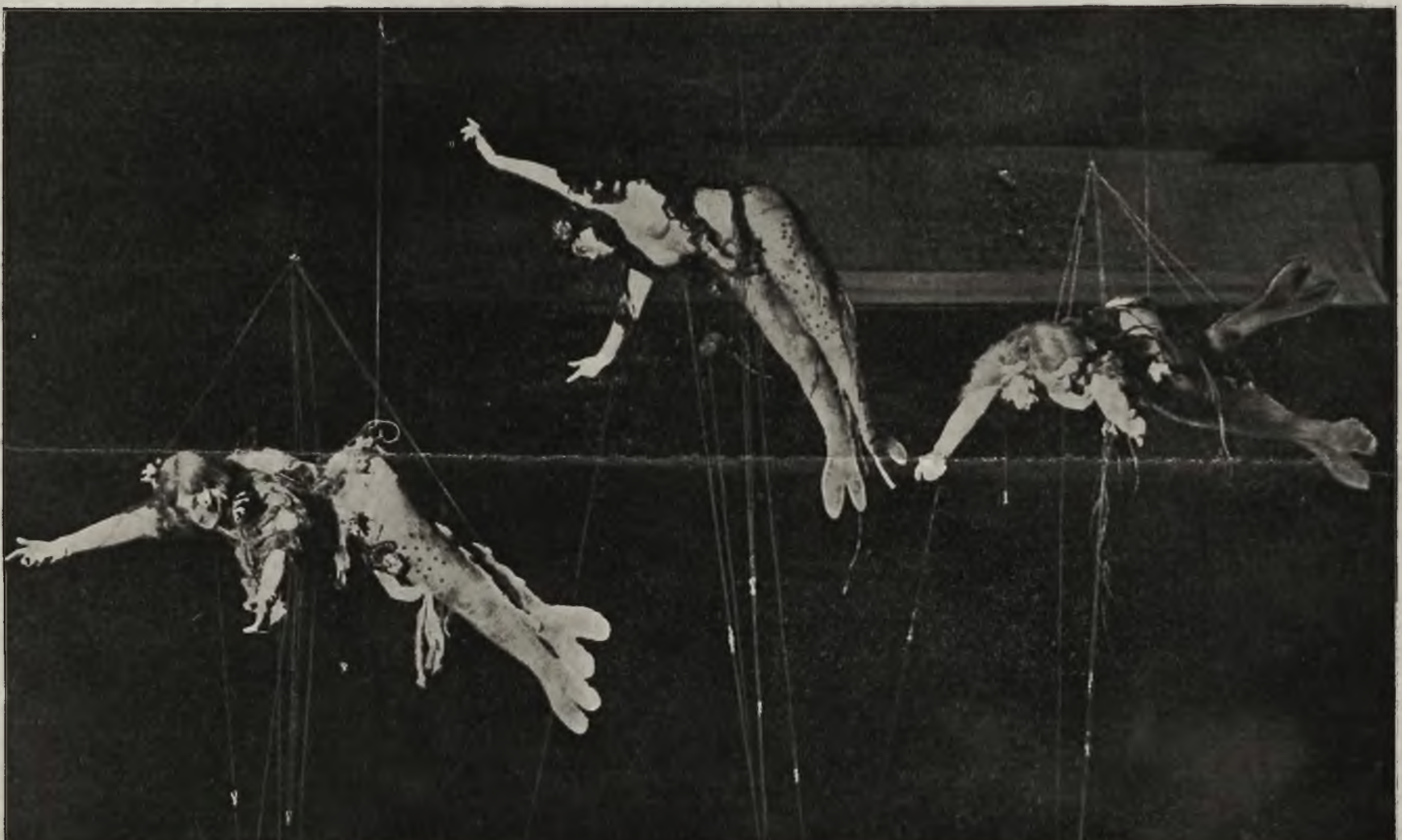
Skazani na wymarcie: Ostatni stróże nocni miasta Krakowa, zebrani na strażnicy.

Z tajemnic zakulisowych.

Za bardzo dawnych czasów wystarczało publiczności zebranej w teatrze, zamiast kosztownej wystawy, pokazać na scenie kilka tablic na słupkach z napisami: Las, Morze, Ogród, Pałac, Karczma itd. Widzowie wyobrażali sobie, co w którem miejscu sceny ma się znajdować i słuchali recytujących role aktorów. Dziś nawet w odciętej od świata prowincyi, teatrzyk wędrowny musi na scenie dać dekoracyę, imitującą np. las w głębi, chatę po lewej, a karczmę po prawej, ponieważ niktby nie przyszedł na przedstawienie, gdyby chciano wypisywać na tablicach, co sobie gdzie należy wyobrazić, jak to bywało niegdyś, gdy w ten sposób grywano sztuki Szekspira.... W ostatnich czasach doszło przecież do tego, że autor dramatyczny niczem już nie krępuje swojej fantazyi, ponieważ wie, iż dla reżyseryi współczesnej nie ma poprostu rzeczy niemożliwych. Scenerye udoskonalono do tego stopnia, że personal techniczny teatrów stołecznych potrafi rozwiązać zadanie najtrudniejsze. Autor w informacyach dla reżyseryi, nieraz nie zastanawiając się nad trudnościami, jakie tem sprawi, każe na scenie przedstawiać takie rzeczy, nad któremi przed laty dyrektor teatru załamywałby ręce, gdyby mu zależało na wystawieniu tej sztuki, bo gdyby mu to było obojętnem, wyśmiałby wprost autora wraz z jego bujną wyobraźnią i zwróciłby mu najlepszy nawet rękopis z zapewnieniem, że to się nie da przedstawić. A dziś, gdy potrzeba, jest na scenie prawdziwy deszcz, śnieg, księżyc, chmury wiatrem pędzone, błyskawice, grzmoty o huku łudząco podobnym do naturalnych, są wodospady, rzeki płynące, fale morskie wzburzone, jest zresztą wszystko, czego autorowi potrzeba. Teatry pierwszorzędne, nie szczędzą kosztów na wystawę opery, baletu, czy jakiegoś fantastycznego dramatu, postarają się o to, by przez scenę przelatywały anioły-aktorki w powietrzu, lub przepływały w wodzie syreny.... Publiczność nie zdaje sobie sprawy z tego, ile tam osób, ukrytych pod sceną lub nad sceną, względnie w bocznych kulisach, pracuje nad tem, żeby efekt był i nic nie psuło złudzenia; nie ma pojęcia, co tam za różne mechanizmy działają w tej chwili w ukryciu, a nieraz nie widzi nawet różnych przyrządów, umieszczonych w oczach widza na scenie, ponieważ światło elektryczne uwydatnia np. tylko figury aktorów, na które skierowane właśnie są reflektory, a pozostawia w kontrastowym cieniu resztę przestrzeni. Jeden z takich, zazdrośnie przed okiem szerokiej publiczności strzeżonych sekretów zakulisowej sceneryi, zdradzamy w dzisiejszym numerze, zamieszczając dwie fotografie, zdjęte podczas próby w królewskiej operze w Budapeszcie, gdzie do dramatów muzycznych Wagnera, mistrz techniki scenicznej, Węgier Kemendy, wynalazł szereg nowych mechanizmów, które umożliwiają wprowadzenie do tych oper efektów



Z tajemnic zakulisowych: W operze królewskiej w Budapeszcie, próba nowego mechanizmu, który umożliwia przepływanie syren przez rzekę na scenie. (Fot. Békei Ödön Budapeszt.)



Z tajemnic zakulisowych: Niewidzialne dla publiczności urządzenia sceniczne w operze budapeszteńskiej, dzięki którym fantastyczne figury mogą pływać i nurkować w wodzie na scenie.

tak łudzących, iż zdumienie widzów nie ma granic. Widzą oni, jak przez scenę przepływają poziomo „córki Renu" i naraz głowami w dół dają nurka, żeby zginąć w głębinie wodnej....

Rzecz prosta, w tym wypadku nie są to już artystki, tylko naturalnych rozmiarów lalki, stylowo ukostyumowane, a przymocowane do niewidzialnych sznurów, którymi kieruje specyalny mechanizm za sceną, przy pomocy kilkunastu osób ukrytych. Zastosowanie tych nowych efektów na scenie opery królewskiej, stanowi w ostatnich dniach istną sensacyę dla miłośników Wagnera w Budapeszcie.

Dla bezpieczeństwa miasta.

Wiadomą jest rzeczą powszechnie, jaką doniosłość posiada w praktyce wczesne sygnalizowanie wybuchłego pożaru. Cóż bowiem pomoże, iż straż ogniowa, chociażby najdzielniejsza i w najlepsze zaopatrzona przyrządy, zjawi się wtedy, gdy już niszczący żywioł stał się panem sytuacyi? Aby właśnie temu zapobiedz, już od najdawniejszych czasów starano się na rozmaity sposób o to, ażeby w razie nieszczęścia zagrożeni mieszkańcy miast zostali powiadomieni o tem, iż ogień grozi ich mieniu i życiu. Zabytkiem z tych czasów, gdy nie posiadano innych sposobów sygnalizowania ognia, są wieże strażnicze (u nas, w Krakowie, wieża Maryackiego kościoła), gdzie czuwający dniem i nocą strażak alarmuje w razie potrzeby odnośne pogotowie straży ogniowej.

Sposób ten jednak alarmowania, dość prymitywny, a zresztą, mimo najlepszej woli straż odbywającego, często zawodny, z postępem wiedzy i praktyki zamienia się zwolna na inny.

Weźmy, dajmy na to, przykład taki: czy to w prywatnem mieszkaniu, czy jakiemś biurze, lub muzeum wybucha pożar. Strażak na wieży nie może widzieć jego początków, lecz dopiero wówczas konstatuje fakt ognia, gdy płomienie wydobyły się na zewnątrz. Wtedy jednak bywa już nieraz zapóźno, choćby straż ogniowa zjawiła się na miejscu z największą szybkością.

Celem zapobieżenia tego rodzaju smutnym wypadkom zaprowadzono u nas i gdzieindziej tzw. automaty pożarne, które za pociągnięciem sznurka natychmiast dają znać na strażnicy, że ogień wybuchł w tem a tem miejscu. Podobnych aparatów posiada Kraków obecnie 62, a oznaczają miejsce, gdzie są umieszczone, zielone latarnie na budynkach.



Fot. T. Bahrynowicz we Lwowie.

»Pan Tadeusz« — operą: Kompozytor Józef Tomasz Wydżga.

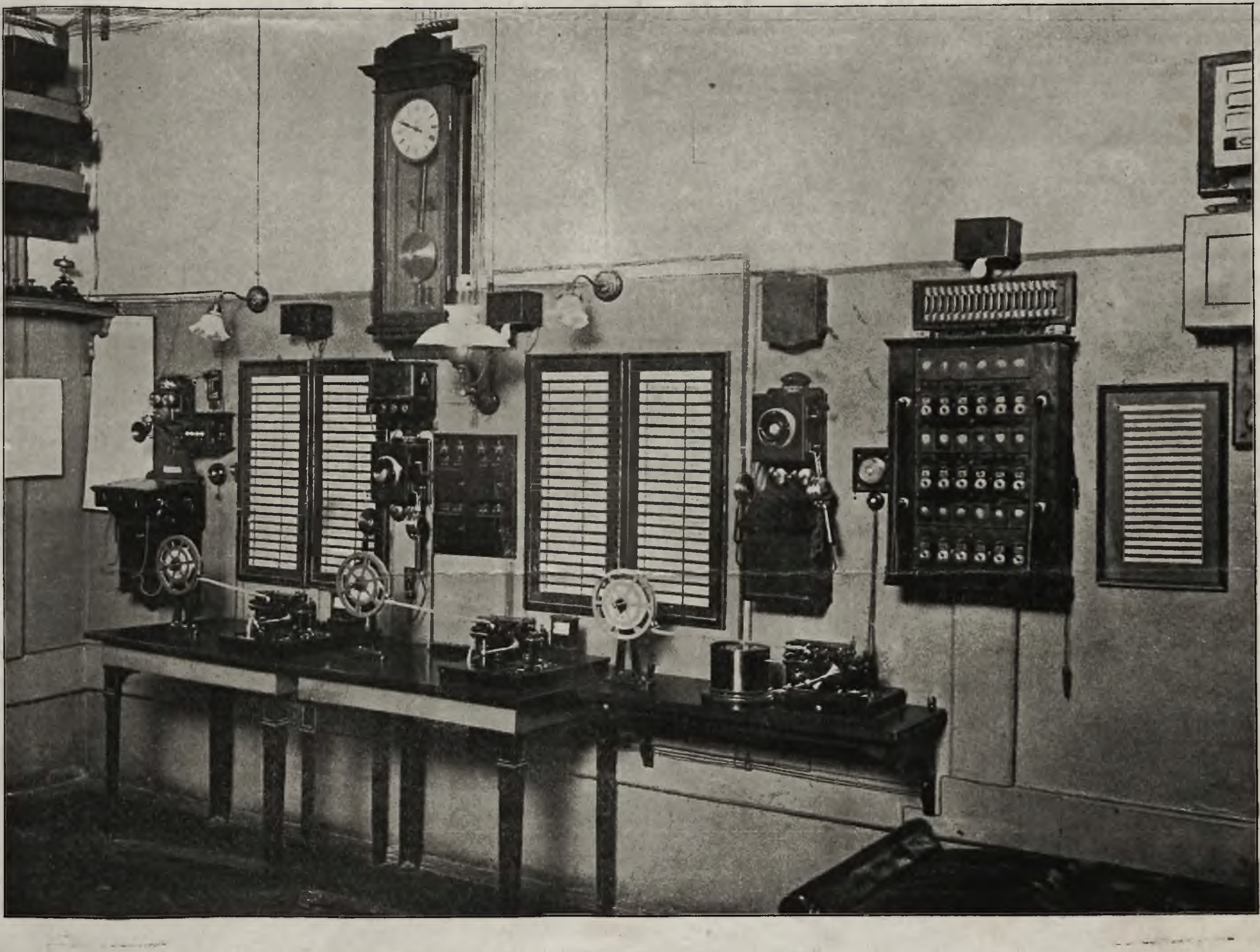
Obecny naczelnik naszej dzielnej miejskiej straży pożarnej, p. Feliks Nowotny, objąwszy przed dwoma laty nad nią dowództwo, usilnie i nie bez skutku stara się o jej podniesienie pod każdym względem. On to właśnie teraz wprowadził nowe ulepszenia przy automatach pożarnych, podnoszące znakomicie ich sprawność funkcyonowania.

Na rycinie, którą podajemy w dzisiejszym numerze „Nowości Illustrowanych" widać wnętrze stacyi centralnej na strażnicy pożarnej, dokąd zbiegają się wszystkie druty automatów pożarnych. Pośrodku stoi stół a na nim dwa aparaty telegraficzne Morsego, które automatycznie za pomocą zwykłych znaków telegraficznych regestrują stacyę, skąd nadszedł alarm. Trzeci aparat, bardzo dowcipnie pomyślany a połączony z zegarem elektrycznym wybija natychmiast rok, miesiąc, dzień, godzinę i minutę alarmu. W ten sposób straż pożarna posiada dla siebie i osób postronnych kontrolę niezawodną.

Idąc dalej w ulepszeniu automatów, p. Nowotny zarządził wprowadzenie 16 aparatów w zmniejszonych wymiarach w ubikacyach Muzeum narodowego w Sukiennicach. Skutkiem tego w razie nieszczęśliwego wypadku nie będzie potrzeby zbiegać aż na dół, gmachu, gdzie obok poprzecznego przejścia umieszczony jest główny aparat, lecz natychmiast będzie można straż zaalarmować.

Jeszcze jeden automat wkrótce zostanie zaprowadzony po muzeach krakowskich, względnie tam, gdzie sobie tego ktoś będzie życzył. Jest to mianowicie malutki przyrządzik, który skutkiem ogrzania się podczas powstałego ognia, sam wywołuje alarm — jest oczywiście połączony drutem ze strażnicą — i daje znać o nieszczęściu.

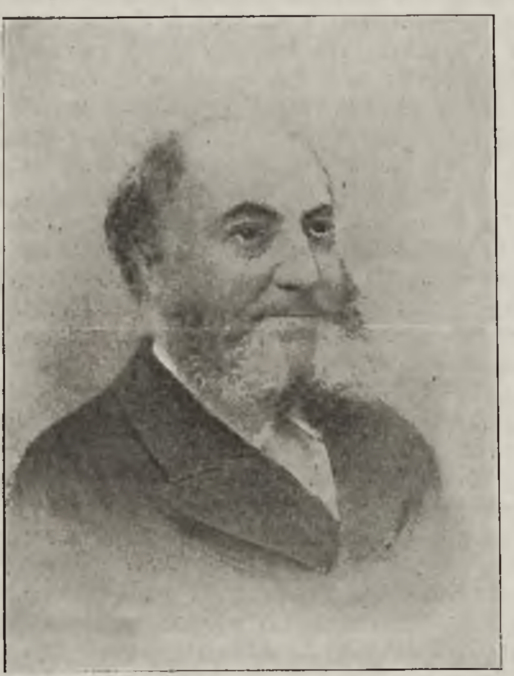
Przytem zauważyć trzeba, że wszystkie instalacye automatów pożarnych, wykonane ostatniemi czasy, są dziełem dwóch podoficerów straży, których pracą kieruje p. brandmistrz Flasza a pod nadzorem p. Nowotnego. Jestto dowód wysokiej sprawności naszej straży, którą i pod względem wyrobienia technicznego umiał obecny naczelnik tak wysoko postawić.



W obronie bezpieczeństwa miasta: Wnętrze stacyi centralnej automatów pożarnych.

„Pan Tadeusz" — operą.

Prawdziwą sensacyą dla lwowskich melomanów było wystawienie w teatrze miejskim opery p. Józefa Tomasza Wydżgi, którego wyborną podobiznę zamieszczamy w niniejszym numerze. Ale bynajmniej nie wyjątkowe powodzenie polskiej premiery operowej stało się powodem sensacyi. Przeciwnie, zupełne fiasko uniemożliwiło szereg dalszych przedstawień, na co z góry musieli być przygotowani znawcy sceny, od chwili, gdy dowiedzieli się, że librettem do muzyki p. Wydżgi jest... „Pan Tadeusz". W ciągu lat nabrano przecież doświadczenia na scenach polskich, że przeróbki dramatyczne choćby najlepsze tego arcydzieła epiki naszej — mimo nazwiska Mickiewicza — nie mają szczęścia w teatrze, co jest zresztą łatwo zrozumiałe, skoro się zważy, iż piękno epopei polega głównie na opisach. Przeróbka zaś najnowsza o tyle więcej niż poprzednie odbiega od oryginału, o ile pozbawia nas tekstu przez współdziałanie nieustanne muzyki. tekst bowiem nie u każdego śpiewaka wychodzi z równą wyrazistością. To też krytyka, traktując „Pana Tadeusza" Wydżgi, jako przeróbkę dzieła Mickiewicza, mogła co najwyżej mówić o tle dekoracyjnem, o postaciach, o sytuacyach poematu, bardzo zaś mało o jego istotnej treści. Słowem, oko widza w teatrze lwowskim było zadowolone, ucho jednak wystawione było na ciężką próbę cierpliwości.



Sensacyjny dramat w Londynie: Zabity przez Raynera, William Whiteley.

Sensacyjny dramat w Londynie.

Przed kilkunastu dniami był Londyn widownią tragicznego zajścia. Do kantoru jednego z najbogatszych kupców londyńskich Wiliama Whiteleya przyszedł młody, wytwornie odziany mężczyzna i zażądał widzenia się z właścicielem. Wprowadzono go do biura Whiteleya. Co pomiędzy kupcem a młodym człowiekiem zaszło, niewiadomo, po kwadransie jednak stanął na progu kantoru sam właściciel i zwróciwszy się do jednego ze swych subjektów, zażądał natychmiastowego wezwania policyi. Subjekt posłuszny wezwaniu pryncypała, wybiegł natychmiast na ulicę. W tejże jednak chwili wyszedł z kantoru i gość Whiteley'a, ów młody człowiek i zwróciwszy się do Whiteley'a spytał głośno:

— A zatem nie ustąpisz?

— Ani myślę — odpowiedział kupiec.

— A więc jesteś trupem — rzekł młody człowiek — i mówiąc to, wyjął z bocznej kieszeni rewolwer, przyłożył go do głowy Whiteleya i wystrzelił dwukrotnie. Kupiec upadł, a zabójca skierował broń przeciwko sobie i runął obok swej ofiary.

W tej chwili nadbiegła i policya. Skonstatowano śmierć kupca — zabójca natomiast, jakkolwiek ciężko ranny, żył jeszcze, przewieziono go więc do szpitala. Tu zeznał on, że nazywa się także Whiteley, że jest naturalnym synem zabitego i że podniósł rękę na ojca, ponieważ Whiteley odmówił mu pomocy i uznania praw jego synowskich. W pierwszej chwili zdawało się, że rana zabójcy jest bezwarunkowo śmiertelna, po bliższem jednak zbadaniu przyszli lekarze do przekonania, że zdołają go utrzymać przy życiu.

Energiczne śledztwo, przeprowadzone przez policyę, wykryło, że zabójca nazywa się Horacym Jerzym Raynerem, liczy lat 27, jest żonatym i ojcem dwojga dzieci, żonę jednak porzucił, sam zaś podróżując po Europie, zarabiał na życie spekulacyami finansowymi. Równocześnie też wyszło na jaw, że twierdzenia zabójcy, jakoby zabity Whiteley miał być ojcem zabójcy, nie są bezpodstawne.

Z zeznań żyjącego w Londynie ojca zabójcy, Raynera, dowiedziała się policya, iż on i ówczesny jego przyjaciel, a obecnie zamordowany Whiteley utrzymywali pod koniec siódmego dziesiątka lat ubiegłego wieku miłosny stosunek z dwiema nadzwyczaj pięknemi siostrami Łucyą i Emilją Turnerówmemi. Emilja była najpierw kochanką Whiteleya, następnie jednak poznawszy Raynera, opuściła pierwszego kochanka. W jakiś krótki czas obdarzyła Raynera potomkiem, którego Rayner uznał za swojego jakkolwiek wydało mu się to nieco podejrzanem. W dwa lata jednak później, gdy Emilja spodziewała się znowu potomstwa, wyznała Raynerowi, że uznany przez niego syn Horacy, nie jest jego synem ani też jej dzieckiem, ale owocem stosunku miłosnego między jej siostrą a Whiteleym. Wobec tego przyszło pomiędzy Raynerem a Whiteleyem do gwałtownej sceny. Rayner zerwał z przyjacielem wszelkie stosunki, dziecko odesłał Łucyi, a wkrótce też rozszedł się i z Emilją, która wyszła za mąż.

Łucya natomiast pozostała i nadal kochanką Whiteleya, który pracą i zapobiegliwością doszedł do olbrzymiego majątku. Urzędnicy Whiteleya pamiętali dobrze, jak przed kilkunastu laty przychodziła do sklepu ich pryncypała w towarzystwie ładnego chłopczyka, brała dla dziecka co chciała i nigdy nic nie płaciła. Z biegiem lat usunął się jednak Whiteley od swej kochanki i nie chciał nic ani o niej, ani o dziecku słyszeć i tylko dzięki interwencyi pewnego adwokata, który zagroził Whiteleyowi skargą sądową i skandalem, udało się Łucyi uzyskać od Whiteleya jakąś znaczniejszą sumę na wychowanie dziecka.

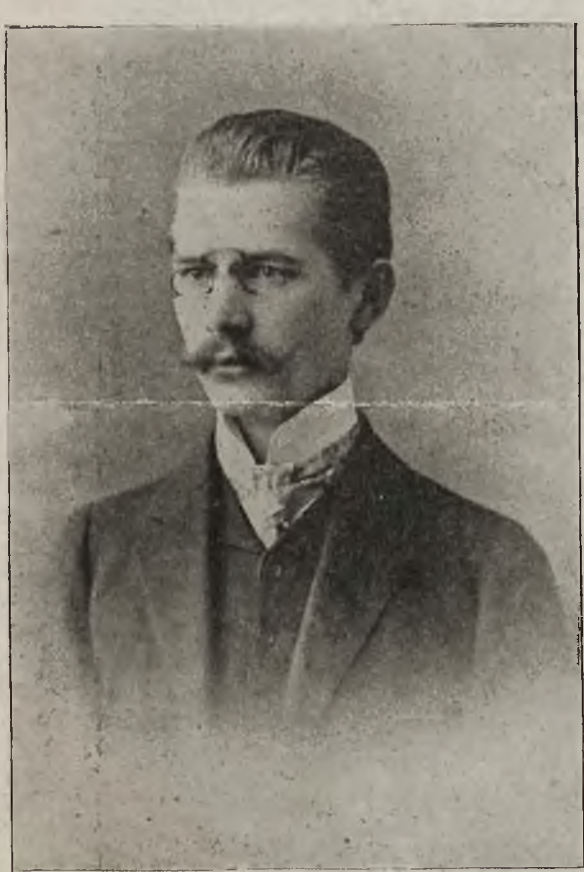


Sensacyjny dramat w Londynie: Zabójca Whiteleya, Horacy Jerzy Rayner.

Suma jednak wyczerpała się szybko, bo po pewnym czasie zjawiła się znowu w kantorze Whiteleya siostra Łucyi, Emilja, wraz z dzieckiem, żądając, aby kupiec zajął się losem dziecka. Whiteley jednak szorstko odmówił i prawie że Turnerówną wraz z dzieckiem ze sklepu wyrzucił.

O pochodzeniu swem młody chłopiec nic nie wiedział, dopiero przed kilku laty, Emilja Turner umierając, miała Horacemu wyznać całą prawdę.

Istotna matka zabójcy, Łucya, żyje podobno dotychczas, policya więc poszukuje jej energicznie, od jej bowiem zeznań zależeć będzie ostateczne wyświetlenie tej tak sensacyjnej i tajemniczej, a całą Anglię bardziej niż najważniejsze polityczne zajmującej sprawy.



Samobójstwo młodego dziennikarza we Lwowie: Ś. p. Leon Laszkiewicz.



Samobójstwo młodego dziennikarza we Lwowie: Zwłoki ś. p. Laszkiewicza znalezione w parku Kilińskiego.

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów
przez M. Walter

B. Felicyan tłomaczył z angielskiego

6 (Ciąg dalszy).

— A jakżesz wam się zdaje, kochany John, kto też waszego pana mógł zabić?

— Kto? toć to przecież jasne, jak na dłoni. A któżby, jeżeli nie ona!

— Myślicie, że to żona uczyniła?

— Ano tak panie, nie inaczej.

— A z czegóż się tego domyślacie?

— A toć przecież na weselu mówiła, że się pomści, że pana nienawidzi, a potem uciekła gdzieś i kryje się w świecie.

— Czyście to, kochany John, sami tak sobie obmyślili?

— Ej nie; mnie się to nie zdawało, bo wyglądała poczciwie, szlachetnie, dobra była dla ludzi, a że tam w złości nagadała to i owo, to jeszcze nie wielkie rzeczy, bo to kobiecy zwyczaj. Tyle lat jestem w słażbie, napatrzyłem się dość i wielkim paniom i uczonym kobietom, co nawet książki pisały, a znam też kobiety i biednego stanu i nieuczone. Mogę też powiedzieć, że one wszystkie jednakie; jak która w złość wpadnie, to będzie zabijała ale tylko językiem, a w duszy poczciwie i naprawdę nicby złego nie zrobiła.

— Skoro tak powiadacie, to czemuż macie podejrzenie na żonę zabitego pana?

— To się właściwie tak stało. Jakeśmy z Filipem zobaczyli nieszczęście, tośmy sobie odrazu pomyśleli, że to może zemsta której z tych, co to nieboszczyk pan się koło nich kręcił, ale starsza pani zawołała: „To ona, to ta niegodziwa żona mojego syna; poprzysięgła mu zemstę, ona go zabiła“. Wtedy dopiero zaczęło się nam wszystkim zdawać, że to chyba tak się stało, jak nasza pani mówi.

— Mówiliście, że żona waszego pana wyglądała uczciwie i szlachetnie, w czemże widzieliście ową poczciwość i szlachetność?

— Nie wiedzieć jak tu zacząć. Chyba od tego, że zła dusza musiałaby przecie choćby kiedy ukazać się na twarzy. A ta pani zawsze była piękna jak anioł, zawsze dobra i grzeczna dla każdego. Była dumna jak księżniczka, poważna jak królowa, ale i dobrotliwa bardzo. Nawet wtedy na weselu, gdy tak strasznie przemawiała, czułem w sercu, że z niej mówi żal, a nie złość. W oczach miała łzy, a nie piekło.

Stuart słuchał z wielką uwagą co mu zwykły, prosty rozum starego sługi opowiadał, potem przesłuchiwał resztę służby i od wszystkich dowiedział się tego samego, że właściwie stąd mają podejrzenie na Leonorę, bo matka zabitego je miała.

Oczywiście najbardziej był ciekaw tego, co mu powie Kate Scaton, ta serdeczna przyjaciółka Leonory, kazał więc służbie poprosić jej o rozmowę. Kate Scaton od ośmiu dni nie opuszczała matki Artewelta. Na tydzień przed weselem zaproszona przez nią, przebywała stale w jej domu i pomagała we wszystkich urządzeniach i czynnościach gospodarczych, a czyniła to jako serdeczna przyjaciółka Leonory. Teraz, po tem strasznem nieszczęściu, pani Artewelt nie puszczała od siebie ani na chwilę zacnej dziewczyny.

Zmęczona do upadłego i bezsennością i wrażeniami, była Kati tak osłabiona, że ledwie na nogach utrzymać się mogła, mimo tego z ożywieniem rozpoczęła sama rozmowę ze Stuartem.

— Czekałam niecierpliwie, aby z panem pomówić. Przysięgam panu, że ona niewinna.

— Czy przez panią przemawia zaślepienie przyjaciółki, czy też silne przekonanie?

— Najsilniejsze przekonanie, oparte na znajomości wszystkich tajników duszy tej najzacniejszej istoty.

— Niech pani nie zapomina, że przecież sama pani Leonora głośno i publicznie zagroziła zemstą, niech pani nad tem pomyśli, że niewinna nie potrzebowałaby się ukrywać.

— Ależ właśnie to nagłe jej zniknięcie i to ukrywanie się przed mężem, jest ową zemstą, o której mówiła. Ja byłam we wszystko wtajemniczona; nawet wspólnie układałyśmy plan jej ucieczki. Leonora jest może nieco ekscentryczna, ale charakter to tak piękny i tak dobry, że podziwiać go i uwielbiać należy. Znam ją przecież od dawna, z tych lat młodocianych, kiedy to serca i dusze roztwierają się jak kielichy kwiatów do słońca.

— Żałuję bardzo, że mnie kilka razy ominęła sposobność poznania przyjaciółki pani. Chociaż jej nie znam, wyobrażam sobie, że posądzać jej o tak straszną zbrodnię nie można. Proszę mi wierzyć, że dołożę najusilniejszych starań, aby jej niewinność udowodnić, a mordercę wyszukać. Niechże mi pani opowie szczerze wszystko, a wszystko, choćby najdrobniejsze szczegóły, tyczące się osoby pani Leonory.

Kate Scaton opowiadała dość długo historyę swej przyjaźni z Leonorą, najbardziej drobiazgową kronikę czteroletniego, koleżeńskiego pożycia i starała się skreślić charakter swej przyjaciółki jaknajwyraźniej. Stuart słuchał tego z widocznem zadowoleniem, ale Kate tak już siły wyczerpała, że mówić dłużej nie mogła.

— Niechże pani skorzysta z tego, że pani Arteveldt zasnęła. Proszę położyć się spocząć, a jutro pomówimy jeszcze o tem wszystkiem. Widząc się z drem Halle, niech go pani poprosi o klucze od mieszkania nieboszczyka, które zajmował w domu matki. Potrzeba mi się tam rozpatrzyć i poszukać jakiejś wskazówki do dalszego postępowania.

Stuart nie miał tu co dłużej robić, więc poszedł do domu, aby także odpocząć i po nocy bezsennej i po wrażeniach; spodziewał się też odwiedzin Jocelyna. Zaledwie przyszedł do domu, przyniesiono mu telegram takiej treści: „B. i ja wyjechaliśmy. Powrót niewiadomy. List wyprawiłem“. Depesza pochodziła z jakiejś małej stacyi kolejowej odległej o 10 mil od Chicago.

Stuart bardzo się ucieszył tym telegramem. Dowiedziawszy się o wyjeździe Jocelyna, zajęty sprawą Arteveldtów, niemógłby Jocelynowi pomagać, a byłoby mu przykro pomocy odmówić. Odpocząwszy i przebrawszy się, poszedł po klucze, o które prosił panny Scaton, a następnie udał się do kawalerskiego mieszkania Arteveldta. Rozejrzał się we wszystkiem dokładnie, według swego zwyczaju, szczególnie zwrócił uwagę na biurko, przepełnione listami i wszelkiego rodzaju fotografiami.

Korespondencya nie była ciekawą, skoro po przeczytaniu obojętnie odrzucał list za listem, aż dopiero mała karteczka zaciekawiła go bardzo. Pismo na niej kobiece, ale wyraziste z rozmachem rzucone na papier. Treść krótka, ale zastanawiająca.

„Niepokoi mnie Twoje postępowanie. Nie zamykam oczu, widzę dobrze. Potem co się stało, musisz być moim. Dziś wieczorem pragnę koniecznie z tobą pomówić“.

Podpisu nie było na kartce, ani adresu, tylko data 9. sierpnia, a więc z przed trzech miesięcy. To oczywiście zastanowić musiało Stuarta, więc schował kartkę starannie i szukał dalej, ale w biurku nie było już nic zajmującego. Zobaczywszy rozrzucone suknie Arteveldta, zaczął je przeglądać, szukać w kieszeniach i tu znalazł drugą kartkę, pisaną tą samą ręką co poprzednio, i to przed czterema dniami, jak data wskazywała.

„Widziałam dziewczynę, z którą chcesz się żenić. Ona Cię nie kocha, na to przysiądz mogę. Ostrzegałam Cię i ostrzegam raz jeszcze. Zerwij z nią, zerwij natychmiast, aby nie spadł na Ciebie grom straszny, jako kara za przeniewierstwo wobec tej, która Cię kocha, wobec której zaciągnąłeś obowiązki“.

Czy to groźba, czy ostrzeżenie? rozważał Stuart. Czy tak, czy owak cenne to i ciekawe dokumenty. Znalazł się i trzeci. Na kominku był stos spalonych papierów. Widocznie Arteveldt palił przed ślubem kawalerską korespondencyę. Stuart przetrząsał zczerniałe, zwęglone pokłady i dopatrzył kawałka niedopalonego papieru. Był to urywek listu, pisanego ręką Artveldta, przez pół zwęglony, ale jeszcze tyle można było wyczytać:

„...podarunki odesłałem, niczego nie zatrzymałem, więc... groźby... nie lękam się niczego... pozostanę szczerym przyjacielem, kochać nie mogę“.

Był to widocznie koncept odpowiedzi na list przed czterema dniami otrzymany. Oczywiście i ten skrawek papieru, na pół zwęglonego, schował Stuart starannie, potem zamknął mieszkanie i pospieszył do willi. Jak tu było wczoraj wesoło, rojno i strojnie, a dziś cisza śmierci, kiry żałobne, rozpacz matki, ponure widmo zbrodni. W ciągu jednej doby ruina życia i szczęścia! Smutno mu było, człowiekiem był; czuł, odczuwał niedolę ludzką, chociaż tragedye życia widywał wciąż, niemal codziennie.

Cicho, ostrożnie stąpał po pokojach, dowiedziawszy się od służby, że nieszczęśliwa matka zasnęła. Szeptem poprosił Kate Scaton na chwilę rozmowy.

— Nadmieniłem już pani, że mam pewne wątpliwości co do winy Leonory i radbym zebrać dowody, że jest niewinną.

— Ależ ja przysięgam, że jest niewinną!

— To nie dowód, to tylko objaw wiary w jej charakter i wyraz przyjaźni. To za mało, dowodów potrzeba i tych musimy szukać. Czy pani zna dobrze pismo swojej przyjaciółki?

— Znam doskonale; przecież korespondowałyśmy z sobą tak często.

— Czy Leonora nie miała tu jakiej nieprzyjaciółki?

— Niemożebne, boć z nikim nie zawierała znajomości, prócz z moją rodziną i naszem kółkiem.

— Nie był też kto u niej na krótki czas przed ślubem? jaka nieznana pani, kobieta?

— A, tak, istotnie. Jakoś na ośm dni przed ślubem, była elegancko ubrana, welonem zakryta osoba i zabawiła z Leonorą w salonie około dwudziestu minut. Pytaliśmy potem Leonory o nią, ale zbyła nas ruszeniem ramionami i rzekła z uśmiechem: „At, komedya, o której niema co mówić“. Przez ciekawość pytałam jej, gdyśmy były same z sobą, ale i wtedy powiedziała mi tylko tyle:

„Jeżeli mi dobrze życzysz nie pytaj się o to. Przyrzekłam dotrzymać tajemnicy i dotrzymam, nawet wobec takiej serdecznej przyjaciółki“.

— No tak, to dosyć ciekawa tajemnica. A jeszcze słówko. Przyjaciółka pani straciła matkę; nie sposób, aby nie miała jakiegoś opiekuna, choćby z urzędu ustanowionego. Czy pani wiadomo o tem?

— O, i bardzo dobrze. Tak jest, Leonora ma opiekuna. Jest nim dr. Austin; mieszka w Fairlic. Leonora bardzo go ceni, pokłada w nim wielkie zaufanie.

— Szczerze dziękuję za te wiadomości. A teraz ja panią wyręczę w czuwaniu przy chorej. Proszę się położyć, odpocząć, wyspać.

Kate Scaton udała się na spoczynek, a Stuart czuwał i rozmyślał, kombinował, układał plany, żeby wyjaśnić sprawę tak bardzo zagadkową.

XI.

Zagadka Fergusa.

Piękna Laura Durand nie wychodziła z buduaru. Wciąż była nie zdrowa, gdy migrena ustąpiła, zdarzył się jej podobno nie miły wypadek, poślizgnęła się na posadzce i nadwyrężyła nogę tak, że stąpać nie mogła. Durandowie z obawy i troskliwości chcieli wezwać lekarza, rozweselać ją swojem towarzystwem, ale piękna Laura wymówiła się stanowczo i od opieki lekarskiej i od towarzystwa rodziców. Zapewniała, że samotność i spokój najlepszem będą lekarstwem. Tylko ulubiona francuska pokojówka była prawie wciąż przy niej, na każde zawołanie.

Lękali się też Durandowie, aby wiadomość o tragedyi Arteveldtów nie wywarła zabójczego wrażenia na tkliwe serce Laury, więc radzono wciąż nad tem, jakby Laurę zwolna przygotować, boć zupełnie ukryć tego, o czem wiedział cały świat, było niepodobieństwem.

Podjęła się tego Nelly Brown. No i słusznie. Wszakże była towarzyszką Laury, umyślnie na ten cel przyjętą, aby Laurze uprzyjemniać życie.

Na atłasowej, zielonej otomanie leżała Laura w pozie tak ułożonej, jakby modelem była dla malarza. Była bezwładna, czy senna, rozgniewana, czy zgnębiona, pogrążona w apatycznej bezmyślności, czy tłumiąca wewnętrzną burzę myśli i uczuć. Trudno orzec, trudno ocenić, bo wszystko to splatało się razem na jej twarzy, nadając jej znamię chaotyczne.

Koło dziewiątej wieczorem weszła do buduaru Nelly Brown. Laura nie spodziewała się tych odwiedzin, czy też ich nie życzyła sobie, bo na widok towarzyszki drgnęła niechętnie, ale Nelly nieaważając na to, siadła spokojnie przy otomanie.

— Czy noga jeszcze boli? spytała, uśmiechając się ironicznie.

— Boli, odpowiedziała Laura cokolwiek opryskliwie i zwróciła głowę na bok, jakby na znak, że rozmawiać niechce.

Ale Nelly nie zważała na to i poczekawszy chwilę, zaczęła znowu mówić:

— Że też to pani niczego nie ciekawa. Sądziłam, że zechcesz się dowiedzieć czegoś o weselu?

— Nie ciekawam wcale — odpowiedziała Laura i zmrużyła oczy, jakby do snu.

— Ależ to niezwykłe było wesele.

— Cóż mnie ono obchodzi?

— Ej, może bodaj cokolwiek, nie udawaj pani

— Panno Nelly, chciałabym mieć teraz spokój.

— I owszem, tylko jeszcze kilka słów. Wesele było niezwykłe. Trzeba było widzieć, z jaką dumą i pogardą mówiła o mężu, z jaką stanowczością mówiła o zemście. Była prawdziwą Junoną, ale z piorunami Jowisza w dłoni.

— O kim pani mówi? spytała Laura zaciekawiona, udając obojętność.

— O Leonorze Arnym, która w czasie uczty weselnej nazwała męża niegodziwem, wyrzucała mu, w jak podstępny sposób zniewolił ją do małżeństwa, a potem znikła bez śladu.

— Co? ona uciekła? jej nie ma? — spytała Laura, jakby przerażona i zapominając o tem, że stąpać nie może, zerwała się z otomany i skoczyła na równe nogi.

— A tak, uciekła, nie ma jej — odpowiedziała Nelly cicho, spokojnie, wymawiając każde słowo jakby od niechcenia.

— Mów, jak się to stało? — wołała Laura, biegnąc ku towarzyszce.

— Uciekła, zapowiedziawszy zemstę, no, i była zemsta, bo... w łóżku znaleziono trupa.

— Czyj trup? krzyknęła Laura przeraźliwie.

— Był to trup Arteveldta — cedziła spokojnie Nelly Brown, patrząc Laurze bystro w oczy. Zamordowano go dziś w nocy, w noc weselną.

— Straszne! Wyszeptała Laura i, chwiejąc się na nogach, wróciła do otomany. Położyła się, zamknęła oczy, a na jej twarzy znać było ciężką walkę wewnętrzną, aby stłumić gwałtowne wzruszenie, a dobyć z duszy bodaj pozorny spokój.

— Może pani przeczyta opis tego wszystkiego w dzienniku. Ciekawy opis. Proszę, oto dziennik. Może pani chce zasnąć? no, to zostawiam na stoliku na jutro. Dobranoc panno Lauro.

Nie odezwała się wcale; Nelly wyszła, złośliwie uśmiechnięta, szydercza, zadowolona z siebie.

Zaledwie drzwi za sobą zamknęła, zerwała się Laura, pochwyciła gazetę i błędnemi oczyma chwytała druk. Ręce jej opadły, gazeta zsunęła się na dywan. Chwilę stała skamieniała, potem załkała boleśnie, przycisnęła pięści do głowy i biegając z kąta w kąt dławiła się łkaniem.

— Mój Frank nie żyje! Frank zamordowany! On zamordowany, a nie ona, nie ona! Ach! to straszne! Cios trafił w jego głowę! Co się to stało? Ha! ha! ha! szalony cios, wściekły cios!

Śmiała się śmiechem szaleńca; oczy jej rozwierały się szeroko, bezmyślnie, bezradnie; ryknęła z bólu i padła zemdlona na dywan.

W tej samej chwili wsunęła się Nelly i zaczęła cucić omdlałą. Gdy odzyskała przytomność, była już panią siebie i wyraziła zdziwienie, z jakiego powodu tak niespodzianie zemdlała. Nelly uśmiechała się tylko coraz złośliwiej, zawołała pokojówki, aby pomogła Laurze się rozebrać i wyszła.

Laura nie spała przez całą noc. Dręczyły ją wzruszenia, czy widma senne; niespokojna była, rozstrojona i wstała wcześniej, niż zwykle. Zaraz wysłała bilecik do Fergusa, przyjaciela Arteveldta, z prośbą, aby ją odwiedził jak najprędzej. Jakoż w godzinę potem był już Fergus w salonie, pewiem, że go będzie Laura pytała o szczegóły tragedyi Arteveldta. Jakże się zdumiał, gdy Laura spokojnie i obojętnie zapytała:

— Kiedy dom pański będzie już gotów?

— Dlaczego się pani o to pyta?

— Bo chciałabym, abyś się pan pospieszył z wszelkiem urządzeniem

— Pospieszył się? Ależ pani właśnie powstrzymywałaś mnie od pośpiechu.

— Teraz życzę sobie przeciwnie. Proszę o pośpiech.

— A i owszem; wszakże mnie przedewszystkiem żałeży na tem, aby już raz wszystko ukończyć.

— Teraz jeszcze jedno. Musisz pan zabrać Nelly Brown natychmiast! Natychmiast, powiadam.

— A to dlaczego? czy wydarzyło się coś nie miłego?

— To dla pana obojętne. Niechcę Nelly widzieć i na tem koniec. Kiedy ją pan zabierze?

— To zależy od tego...

— Zależy od tego, czy panu za to dobrze zapłacę? co? prawda? Bądźmy szczerzy. Chcesz pan zarobić tysiąc dolarów?

— Któżby nie chciał?

— Masz tu pan pięćset z góry, a resztę wypłacę, gdy Nelly nie będzie już przy mnie. Spiesz się pan i pamiętaj, że ja tej dziewczyny widzieć już nie chcę, nie mogę.

Fergus z wielką przyjemnością schował pieniądze, wdzięcznie się pożegnał i odszedłszy, długo myślał nad tem, dlaczego Laura ani słowem nie spytała o Arteveldta, dlaczego tak prędko pozbywa się towarzyszki. Zagadki rozwiązać nie zdołał.



W tej samej chwili wsunęła się Nelly i zaczęła cucić omdlałą.

XII.

Wspólnemi siłami.

Było to właśnie tego samego dnia, gdy Arteveldt padł ofiarą zemsty. W zamku Devonshire w Anglii, siedział posępny baronet Sir Reginald Hillary w swej bibliotece i słuchał uważnie opowiadania młodego człowieka. Był to Francis Ferrars, najznakomitszy agent policyi angielskiej. Mężczyzna to silnie, kształtnie zbudowany, o wejrzeniu pełnem inteligencyi. Rysy twarzy mówiły wyraźnie, że w tym człowieku tkwi energia, silna wola, stanowczość i przenikliwość.

— Oto rezultat moich długich zabiegów, kończył opowiadanie Ferrars, a że nie powiodły się tak, jak tego pragnąłem, to już z winy niedokładnych informacyj. Pan baronet wybaczy, że pozwolę sobie na rekapitulacyę całej sprawy; jest to potrzebne, nawet niezbędne, bo może nasunie się przytem pamięci pańskiej jaki nowy szczegół, może jakie nowe życzenie.

— Owszem, proszę bardzo. Słucham pana.

— A więc zaczynam od tego, jak przed trzema laty raczyłeś mnie pan wezwać, panie baronecie i opowiedziałeś taką historyę.

„Czternaście lat temu żyła w południowej Francyi młoda kobieta, zamężna za Anglikiem, pochodzącym z rodziny bogatej i starożytnej. Małżeństwo zawarte było potajemnie, więc młoda para żyła tam pod przybranem, obcem nazwiskiem. Mieli córkę, byli szczęśliwi, zadowoleni z siebie, aż pewnego dnia wyjechał nagle Anglik, a że przez długi czas nie wracał i wiadomości o sobie nie dawał, żona jego nabrała przekonania, że ją opuścił. Do tego mniemania przyczyniło się najbar dziej to, że w ostatnich czasach, przed jego wyjazdem, jeden z jego krewnych zasypywał go dotkliwą dla obojga korespondencyą, zmierzającą do tego, aby to małżeństwo zerwać. Gdy mąż zniknął, obawiała się, aby jej i dziecka nie porwano, dlatego opuściła potajemnie miejsce pobytu i gdzieś w świecie przepadła bez wieści“.

Opowiedziałeś mi pan, panie baronecie tylko tyle, a nie chciałeś powiedzieć reszty. Nie powiedziałeś pan, że owa kobieta była żoną pańskiego jedynaka, nie powiedziałeś pan, że osobiście, a nie tylko listownie, obraziłeś synowę. Nie powiedziałeś pan, że syn pański nie wrócił do żony, bo umarł w Anglii. A to były szczegóły wcale ważne dla mnie i ośm miesięcy straciłem na to, żeby rozbijając się po różnych zakątkach Europy, wreszcie dociec tego, o czem mogłem się był dowiedzieć w kilku minutach.

— Przyznaje panu zupełną słuszność, a ze swej strony przypomnę, że potem nie taiłem już niczego i dziś jeszcze powtarzam panu: znajdź spadkobiercę mojego mienia, wyszukaj córkę mojego syna!

— Przedewszystkiem muszę znaleść pańskiego kuzyna.

— Ach! to zakała naszego rodu. Jason Bradmardine jest niestety najbliższym moim krewnym, acz właściwie bardzo dalekim. To niegodziwiec, co z ubolewaniem, ale i z naciskiem panu powtarzam.

— Niech pan, panie baronecie, nie zadaje sobie przykrości mówienia o nim. Wiem dobrze jak pana Bradmardine oceniać. Aby pozyskać milionową sukcesyę po panu, wysila się teraz, aby ukryć, lub usunąć na zawsze córkę pańskiego syna. Walczy o milion. Taki człowiek toczy walkę o milion zawzięcie, podstępnie, nawet nikczemnie, więc przedewszystkiem muszę go dopaść, aby nam w tej walce o milion nie wydarł zwycięstwa. Nie ulega wątpliwości, że używa wszelkich środków, aby nie dopuścić do znalezienia pańskiej wnuczki.

— Według odwiecznych ustaw naszego rodu, dziedziczyć mogą i kobiety w prostej linii. Córka mego syna jest więc prawą spadkobierczynią mojego mienia, przedstawiającego wartość miliona funtów szterlingów. Gdybym jej nie odzyskał, byłby w moc prawa spadkowego dziedzicem ów nikczemnik, dla którego mam tylko pogardę.

Czyż zamek Devonshire, odwieczna siedziba zasłużonych w narodzie, uczciwych ludzi, ma stać się jaskinią bandytów? Panie Ferrars, czyń co możesz, nie szczędź moich pieniędzy i ocal moje stare gniazdo rodowe od zagłady, moją starą, siwą głowę od hańby.

Starzec zapłakał.

— Gdybym miał życie narazić, będę panu służył i mam nadzieję, że usłużę.

— Co pan teraz uczynisz? zapytał baronet, uspokoiwszy się nieco i ochłonąwszy z głębokiego wzruszenia.

— Pierwszym statkiem odpłynę do Ameryki.

— Do Ameryki?

— Tak panie baronecie. Jason Bradmardine jest w Ameryce, a więc zapewne i pańska wnuczka. On pewnie nie spuszcza z niej oka i czycha na taką chwilę, w którejby mógł na zawsze się jej pozbyć i zdobyć milion w tej walce prawa ze zbrodnią, czy z uroszczeniem tylko.

— Skąd pan wiesz o tem?

(Ciąg dalszy uastąpi).

Katastrofy.

Ciekawy jest związek pomiędzy plamami na słońcu a wstrząśnieniami, jakich doznaje nasza planeta, ten posłuszny satelita króla słońca, koło którego wszystko krążyć musi pokornie. Obecnie znów powiększyły się plamy na słońcu i następują też jedna katastrofa za drugą na naszej kuli ziemskiej. Trzęsienie ziemi w San Francisco, w Valparaiso, straszne nieszczęścia w Courrières w kopalniach, a teraz znów w Liéven we Francyi i w Reden w Niemczech — są dowodem, że istnieje związek między naszym światem, a potężnem słońcem, które niem rządzi.

W dzisiejszym numerze podajemy podobizny dwóch inżynierów francuskich, którzy zginęli, ratując podwładnych robotników w kopalniach Liéven, oraz widoki kopalni w Reden (w Niemczech) podczas katastrofy.



Katastrofy: Szyb Nr. 3-ci w Reden.



Katastrofy: Tłum przed zjazdem do szybu oczekuje na wiadomości o nieszczęściu.

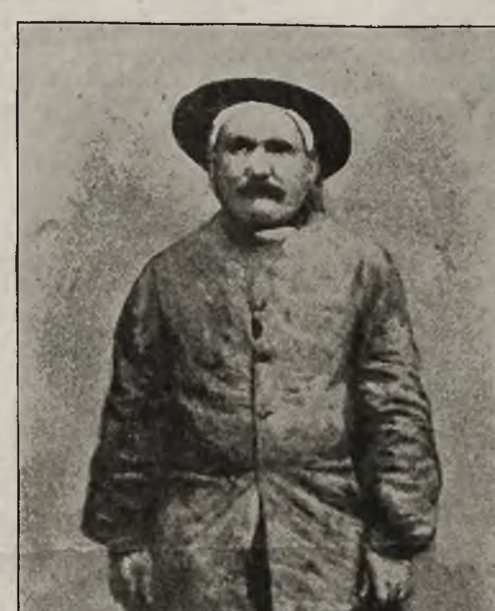
Ten, co był kiedykolwiek w kopalniach węgla, ma wyobrażenie o tej ciężkiej pracy a przy tem niebezpiecznej, którą muszą spełniać górnicy, narażeni co chwila na wybuch gazów, a tego pomimo największych ostrożności, nie da się uniknąć. Jakie sceny rozgrywają się później, gdy zmiażdżone zwłoki wydobywają na wierzch — łatwo sobie wyobrazić.

Na przykład w Reden, zjechało do szybu nr. 3. głębokiego na 500 metrów, 572 górników. Wkrótce rozległ się w głębiach ziemi huk straszny... wybuchł gaz, tworzący się we wszystkich kopalniach węgla. Wstrząśnienie było tak silne, że budynki stojące na powierzchni ziemi zadrżały w posadach, szyby z nich powypadały, mury się porysowały.

Pomimo bardzo energicznej akcyi ratunkowej ocalono mniej niż połowę górników, którzy w dniu krytycznym 28 stycznia zjechali do szybu nr. 3. I ci, co zostali wydobyci na powierzchnię, byli raczej podobni do trupów, niż do ludzi żywych. Wielu było na pół zaduszonych i poranionych ciężko. Płacz matek, żon, sióstr zagłuszył nawet huk maszyn... wszystko to jednak nie pomogło, życia zmarłym i śmiertelnie ranionym bojownikom pracy powrócić nie było można.



Katastrofy: Inżynier Pelvey, który zginął w kopalni w Lieven.



Katastrofy: Inżynier Valsiere, który zginął w kopalni w Lieven.

Skazani na wymarcie.

(Do illustracyi na str. 7).

Jedną z osobliwości Krakowa — a ma ich dużo — są tak zwani „stróże nocni“, uzbrojeni w halabardy średniowieczne i będący uzupełnieniem straży policyjnej tak nielicznej i temsamem z trudnością spełniającej swe obowiązki.

Niestety, jak wiele innych pamiątek z „dawnych, dobrych czasów“ i oni zostali na zagładę skazani.

W dzisiejszych czasach, gdy wszystko się niweluje, nie mogli ostać się i ci stróże porządku publicznego, uzbrojeni na manierę średniowieczną. A szkoda! Bo Kraków — jak to słusznie podniesiono w jednym z miejscowych dzienników — swój urok zawdzięcza nietylko starym murom, ale również zachowaniu odwiecznych tradycyj, niejednego starego zwyczaju oraz urządzenia. Bez „Emausu“, bez wspaniałej procesyi na Boże Ciało, której bractwa, ubrane w swe charakterystyczne kostiumy, nadają tak oryginalną cechę, bez „Konika Zwierzynieckiego“ itp. gród podwawelski straciłby bardzo dużo.

W dalszym ciągu ów „obrońca halabardy“ proponuje, aby tym niewinnym orężem uzbrojono przynajmniej pachołków, którzy pilnują nocami miejskich budynków, jak np. Sukiennice.

Projekt ten jest wcale oryginalny a w każdym razie wprowadzenie go w życie nikomu nie zaszkodzi. Pachołkowie zamiast lasek nosić będą ewentualnie broń średniowieczną, która — ma się rozumieć — już swoim wyglądem powinna odstraszać amatorów publicznego czy prywatnego dobra.

W ten sposób przynajmniej zachowaną zostałaby jedna z resztek „starego“ Krakowa, tak miłych wszystkim, co Kraków dla jego oryginalności szczególną predylekcyą otaczają.

Dotąd jednak nasi „stróże nocni“, jak to widać z udatnego zdjęcia, dokonanego podczas wymarszu na służbę o god. $9^1/_2$ wieczorem, istnieją, chociaż ich dnie są policzone.

Już tylko ich dwudziestu nosi broń sieczną, i ci właśnie utrwaleni na naszej fotografii są potomkami onej słynnej gwardyi przybocznej panów „hetmanów“ (hutmanów) krakowskiego magistratu, co czuwali nad bezpieczeństwem miasta, a rozkazy swojej władzy wykonywali z bezwzględnością, jaka przystała średniowieczu, lecz z poczuciem obowiązku obywatelskiego, o czem dziś nie ma mowy.

Kronika tygodniowa.

Po ostatecznem sprawdzeniu wyniku wyborów do parlamentu rzeszy niemieckiej, okazało się, że zdobyło mandaty 19 Polaków.

Jakby odpowiedzią hakaty na to nasze zwycięstwo, był wyrok sądu karnego w Lubawie, prastarym grodzie Prus Zachodnich. Na ławie oskarżonych zasiadło ośmiu proboszczów dekanatu lubawskiego, pociągniętych do odpowiedzialności za to, że ogłosili i odczytali w świątyniach Pańskich odezwę do ludu w sprawie nauki religii w języku ojczystym. Zachęcanie do takiej zbrodni, jak mówienie pacierza po polsku, nie mogło naturalnie pozostać nieukarane w „państwie miłości Bożej“, więc przedstawiciel tej miłości, prokurator Zitzlaff żądał dwu miesięcy kary więziennej dla każdego ze zbrodniarzy.

Naturalnie, że obwinieni zwyczajem zatwardziałych przestępców winy swej nietylko nie uznawali, ale ośmielili się twierdzić, że nauka religii nie jest rzeczą państwa (eine Angelegenheit des Staates). Obrońcy ich byli tego samego zdania i żądali uniewinnienia oskarżonych.

Łagodny, ojcowski sąd pruski, stojąc wobec dwu sprzecznych wniosków, rozstrzygnął rzecz krakowskim targiem, skazując wszystkich ośmiu księży na miesiąc zwykłego więzienia. Zauważyć należy, że przestępców politycznych spotyka zazwyczaj kara więzienia w twierdzy, więcej honorowa o tyle, że nie odbywają jej wspólnie ze zwykłymi przestępcami: złodziejami, oszustami i t. d. Sąd pruski uznał jednak, że ludzie, którzy bronią praw ojczystego języka, stoją na równi ze rzezimieszkami.

Dla pamięci potomności podajemy nazwiska tych zbrodniarzy. Są nimi księża: Nikodem Kowalski, Franciszek Liss, Walenty Pełka, Franciszek Majka, Aleksander Okoniewski, Józef Ruchniewicz i Jan Batke.

Kiedy skazani opuszczali salę sądową, powitały ich tysiące przybyłego z okolic ludu okrzykiem: Niech żyją! Widzimy z tego do jakiego stopnia obałamucona ludność nie posiada ani poczucia sprawiedliwości, ani tak koniecznej wszystkim wiernym poddanym lojalności. A przecież można by się czego innego od niej spodziewać, zwłaszcza, iż Lubawa już w końcu XIII wieku dostała się pod szlachetne rządy bogobojnych Krzyżaków, którzy w niej zbudowali zamek i opasali go tak mocnemi murami, że znany najezdnik Władysław Jagiełło przez cztery dni go zdobywał w r. 1422 i odstąpił od oblężenia dowiedziawszy się, że miasto jest własnością biskupa chełmińskiego. Dodajmy, że o dwie mile od Lubawy znajduje się Grunwald, miejsce pamiętne klęską, jaką ponieśli Krzyżacy, stojący w obronie „swych“ dziedzin, przez tegoż Jagiełłę zagrożonych. Te wspomnienia historyczne powinny być drogie dla mieszkańców i budzić w nich patryotyczne uczucia niemieckie. Niestety, intryga polska i tu święci tryumfy!

Ta intryga zapewne jest przyczyną, że nastąpiły we Lwowie masowe aresztowania akademików Rusinów, którzy się odznaczyli przy zdobyciu uniwersytetu lwowskiego. Z początku aresztowano tylko trzech, bo ktoby tam robił wielkie rzeczy z takiej bagatelki, jak pobicie profesora, zrujnowanie auli, poniszczenie dzieł sztuki itd. Sądzono, że u „góry“ za złe nawet wezmą ograniczenie wolności tej trójki bohaterskiej, ale podobno „góra“ nadspodziewanie uznała, że piękny poryw młodzieży ruskiej traci niesłychaną dzikością, jest wprost rozbojem, wandalizmem.

Więc „dół“ poszedł za zdaniem góry i szermierze wolności zostali jej pozbawieni. Obawiać się należy, aby sprawa nie przeciągnęła się do maja, to jest do czasu wyborów, bo w takim razie pozbawionoby Galicyę 90 agitatorów, co mogłoby wpłynąć ujemnie na ożywienie akcyi wyborczej.

W Warszawie mamy ją w całej pełni. Już w poprzednich kronikach zaznaczono jej przebieg. Wobec tego dziś poprzestaniemy na dodaniu dwu ciekawych szczegółów.

Ponieważ toczy się walka o głosy żydowskie, więc na zebraniu żydów poeta Niemojewski wśród swego przemówienia posługiwał się cytatami z pisma świętego, wygłaszając je w języku hebrajskim.

Do agitacyi wyborczej wciągnięto też i żydowskie teatry żargonowe. W jednym z nich grają obecnie sztukę, nazwaną „obrazem z pierwszych wyborów do Dumy w Warszawie“. Głównym bohaterem jej jest Icie Meir, zwolennik kandydatów narodowej demokracyi z trzech przyczyn: po pierwsze, ponieważ nienawidzi „Litwaków“ (żydów rosyjskich, którzy wielką konkurencyę sprawiają żydom miejscowym), syonistów, bundzistów, i wogóle ludzi „obcych“; po drugie ponieważ — jak sam mówi — „uważa za swój obowiązek wiedzieć, że jest żydem polskim na polskiej ziemi“, wreszcie po trzecie, ponieważ obawia się pogromu. W sztuce, mającej wielkie powodzenie, występują jeszcze: asymilator i syonista.

Wogóle obecne wybory do Dumy tak w Królestwie jak i w Rosyi, będą więcej interesujące, niż poprzednie. Agitatorzy odbyli już nowicyat, a więc są wprawniejsi, już się niejednego „nauczyli“. Co więcej, trzeba przyznać, że rząd przy pierwszych wyborach zachowywał się dosyć neutralnie, zaledwie gdzieniegdzie organa jego wywierały presyę. Obecnie i on się już „wiele nauczył“ i stąd znać jego rękę. „Kuryer Litewski“ np. podaje interesujące wiadomości o wyborach z drobnej własności w gubernii mińskiej. Duchowieństwo prawosławne otrzymało polecenie zwalczania kandydatur „pańskich“ i „katolickich“ a naczelników ziemskich otwarcie wezwano do agitacyi. Ogłoszono, że każdy prawyborca ma przyjść z paszportem, ale ponieważ to ogłoszenie dano w gazecie urzędowej, którą mało kto czyta, więc prawyborcy katoliccy stawili się przeważnie bez paszportów; natomiast prawyborców prawosławnych uwiadomiono o tem osobnemi awizacyami.

Zamierzony rezultat został osiągnięty: kto się stawił bez paszportu nie został dopuszczony do głosowania. W okręgu zasławskim sprowadzonym do Zasławia wyborcom „postawił“ proboszcz prawosławny Suszczyński dwa wiadra wódki i beczkę piwa. „Uświadomieni obywatele“ tak się popili, że stoczyli bójkę, której ofiarą padli dyak cerkiewny i sekretarz naczelnika ziemskiego; pierwszemu porznięto palce, a drugiego raniono w głowę. Jak widzimy „wyborcza kiełbasa“ uzyskała już prawo obywatelstwa, a i wyborcy siłę swych przekonań wyładowują już w sposób przyjęty w wielu „ucywilizowanych“ społeczeństwach. O tej „kulturze“ przy pierwszych wyborach słychać nie było.

Tymczasem Warszawa coraz więcej się bawi. Zabaw publicznych w niej pełno. Prócz balów zwykłych i z dodatkami, jak np Kulig w Soplicowie w Dolinie Szwajcarskiej, urządza Warszawa karnawałowe, jakieś ghyn-khany, konkursy i wyścigi łyżwowe, a nawet turniej poetów. Jednem słowem życie w niej wre, jak za najlepszych czasów. Psują nieco harmonię: pani Golińska Daszyńska i dr. Wróblewski, którzy wybrali się do Syreniego grodu z propagandą antialkoholizmu. Pora nie szczególnie wybrana — należało zaczekać do postu. To też widzimy pewne ślady niezadowolenia w prawodzianiach „kuryerkowych“ z konferencyi antialkoholicznej.

„Nie kwestyonując doniosłości tego ruchu — pisze „Kuryer Warszawski“ — nie możemy się powstrzymać od uwagi, że działalność i gorące apostolstwo idei przez usta dra Wróblewskiego powinno się raczej zwrócić do sfer, które nawracać i leczyć trzeba. Zwolennicy dla tej idei zyskani wytrzymali ten ogień kilkogodzinny... Widzieliśmy bardzo wiele młodzieży szkolnej płci obojej, dla przekonania której wysiłek tak wielki był zbyteczny (?)“.

Za to przybycie do Warszawy pani Korolewicz-Wajdowej przyjęła prasa kuryerkowa z zapałem. „Zniknęła nam — piszą — jak sen złoty... Czarowała Warszawę, pieściła ucho głosem aksamitnym, który drga takiem głębokiem uczuciem, za serce chwyta... Ale nad teatrem polskim powiały wichry nieprzyjazne — i ulękła się ptaszyna, zatrzepotała skrzydełkami i opuściła gniazdo rodzinne“. Potem idzie spory opis „czułego pożegnania“ i tryumfów pani K. za granicą. Wreszcie zachwyciarz kuryerkowy notuje, że „przyszła godzina, w której artystka zatęskniła“ za Warszawą, więc też radzi „słuchać jej dopóki śpiewa, bo znowu ucichnie i znowu zniknie, jak sen jaki złoty...“

Żaden podobny stuwierszowy artykuł nie powitał daru p. Karolowej Schlenkerowej, która na Macierz Szkolną złożyła 100.000 rubli. I my też poprzestaniemy na suchem zanotowaniu tego czynu, nie chcąc w gazeciarskiej harmonii czynić dysharmonii.

Nie wypada zresztą czynić dysharmonii w chwili, kiedy cały świat zabiera się do pokoju. Jeździ w tym interesie po Europie p. Martens, przedstawiciel rządu rosyjskiego, podróżuje w tym celu i p. Stead, głośny publicysta angielski. Ten ostatni był nawet na audiencyi u kanclerza Bülowa, który oświadczył, że „bardzo szanuje apostołowanie przez Steada idee pokoju powszechnego“ że, „Niemcy uważają sobie za obowiązek przyczynić się do powodzenia drugiej pokojowej konferencyi w Hadze“. Tylko co się tyczy rozbrojenia powszechnego, to rząd niemiecki zbyt poważnie zapatruje się na konferencyę pokojową, aby mógł przyjąć podobną propozycyę. Jak widzimy między zapatrywaniami p. Steada i p. Bülowa jest drobna zaledwie różnica. Pierwszy, patrząc na dwóch chłopów kijami się walących, uważa, że przedewszystkiem należałoby odebrać im kije, a p. Bülow sądzi, że wypada im dać pałki większe i mocniejsze.

Podobna różnica zapatrywań choć w innej kwestyi, zachodzi pomiędzy ministrami oświaty francuskim i austryackim. Jak wiadomo od kilkunastu lat przypuszczają wybitni pedagodzy szturm do matury (nota bene już przed laty 45 dr. Józef Dietl, człowiek wielkich zasług i wielkiej powagi radził ten przeżytek złożyć do archiwum). Wychodzą oni z tego założenia, że jeżeli ucznia przepuszczano na podstawie egzaminów przez lat 8 z klasy do klasy, to nonsensem jest kazać mu po raz drugi z tych samych przedmiotów składać egzamin. Po zatem matura jest torturą, której ze stanowiska hygieny zabronić należy. Innych argumentów jest jeszcze kilkanaście — ale nie piszemy rozprawy, więc je pomijamy. Dość, że skargi na maturę są powszechne. Wskutek tego francuski minister oświaty zniósł ją swojem rozporządzeniem, a strażnik oświaty austryackiej polecił ją... obostrzyć.

Jak sądzicie, Szanowni Czytelnicy, który z tych dwu ministrów przepadłby przy maturze z pedagogii, hygieny i „zdrowego rozsądku“, gdyby taki przedmiot gdziekolwiek wykładano?

Kącik humorystyczny.

Spółka.

Pan Ehrenfeld i pan Zwikeles założyli do spółki wielki interes. Pan Ehrenfeld był bogatym, za to pan Zwickeles choć biedny miał wiele doświadczenia kupieckiego.

— Jakżesz on ciebie przyjął do spółki — pyta przyjaciel Zwikelesa.

— Nu — mówi Zwikeles — on ma pieniądze a ja mam doświadczenie, ale za parę lat to ja będę miał pieniądze a on doświadczenie.

I tak źle i tak niedobrze.

Mąż: — Na litość Boską, nie pokazujże ostatniego numeru *Kuryera* twej matce!

Żona: No, dlaczego?...

Mąż: Wszak ona cierpi na avterioscherozę, a tam najwyraźniej powiedziane jest, iż wynaleziono środek, działający wprost cudownie i zapewniający długowieczność. Wybrali się rzeczywiście w porę z tym wynalazkiem...

Z sali sądowej.

Sędzia (do świadka): Teraz złożysz pan przysięgę. Powtarzaj pan za mną: przysięgam...

Pan Kohn: Ja także...

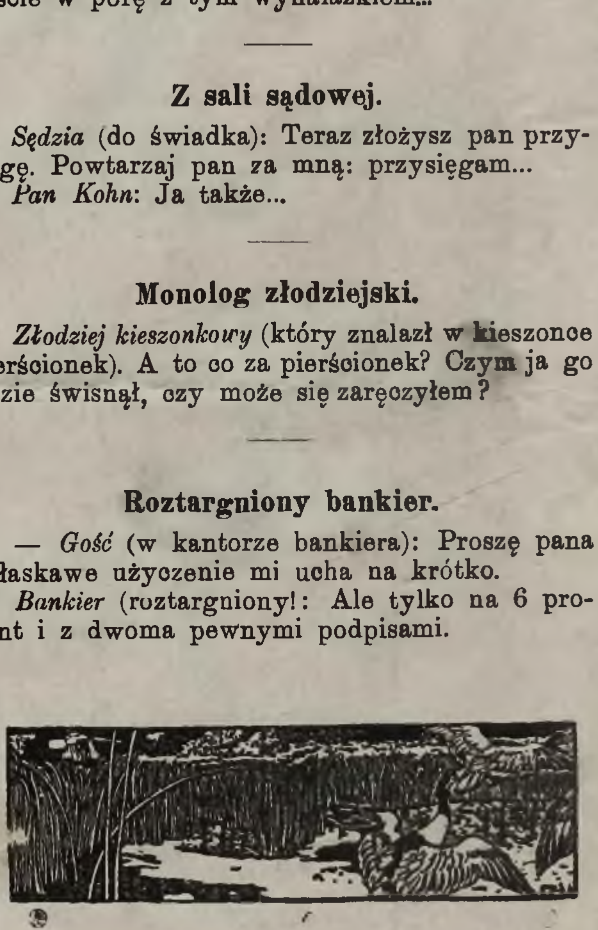
Monolog złodziejski.

Złodziej kieszonkowy (który znalazł w kieszonce pierścionek). A to co za pierścionek? Czym ja go gdzie świsnął, czy może się zaręczyłem?

Roztargniony bankier.

— *Gość* (w kantorze bankiera): Proszę pana o łaskawe użyczenie mi ucha na krótko.

Bankier (roztargniony!: Ale tylko na 6 procent i z dwoma pewnymi podpisami.



Tajemnicza tragedya w banku.

Krwawa kronika warszawska zanotowała w ubiegłym tygodniu wypadek niezwykły a pełen tajemniczości. Oto jego przebieg: Do Banku handlowego w Warszawie na rogu ulic Berga i Włodzimierskiej przyszedł o 1 ej po południu młody mężczyzna w uniformie studenta politechniki i zażądał widzenia się z dyrektorem Sawickim.

Temuż, gdy go do gabinetu wpuszczono, przedstawił się jako Sulima - Ułanowski, rzekomo wysłaniec P. P. S. i w tym charakterze zażądał wydania 1000 rubli. Kiedy dyrektor odmówił stanowczo podobnej ofiary na cele partyjne, oświadczył przybyły, że nie odejdzie, dopóki nie otrzyma żądanej sumy.

Usiadł więc na sali sesyjnej, stanowiącej też poczekalnią dla interesantów i czekał cierpliwie Parokrotnie zwracano mu uwagę, iż nietylko nie doczeka się wydania pieniędzy, ale nawet oczekiwanie dalsze może go narazić na fatalne następstwa. Wówczas z miną wyzywającą zawołał: „Może zechcecie sprowadzić policyę... Spróbujcie! Jestem wysłańcem partyi, która umie odpłacać nale życie za podobne postępki!" Po takich słowach zostawiono go w spokoju, tembardziej, że co chwil wchodzili do poczekalni dwaj prawdopodobnie wspólnicy jego i naradzali się z nim, poczem znowu odchodzili. Tak upłynęły dwie godziny, a rzekomy Ułanowski siedział dalej.

Dopiero o $3^{1}/_{2}$ po południu zjawiło się w banku trzech nieznanych ludzi, na których widok ulotnili się natychmiast oczekujący dotąd na dole wspólnicy Ułanowskiego.

Nowoprzybyli oświadczyli, że rozprawią się sami z bandytami, o których wtargnięciu właśnie dano im znać. Weszli oni do sali sesyjnej, w której siedział tylko Ułanowski i drzwi za sobą zamknąwszy, pozostali sam na sam z bandytą. Co tam zaszło, nikt nie umie powiedzieć dokładnie. Scenę, jaka tam się rozegrała, pokrywa do tej chwili tajemnica.

Ostatecznie dopiero między ósmą a dziewiątą wieczorem, kiedy warta wojskowa zmieniała się w banku, żołnierze w bramie od ul. Włodzimierskiej potknęli się o zwłoki ludzkie, leżące w kałuży krwi. Zapalono światło, żeby sprawdzić bliżej co zaszło (tę chwilę właśnie wyobraża nasza rycina).

Trup człowieka w granatowych spodniach z zieloną wypustką, miał głowę obwiązaną czemś w rodzaju worka, po którego zdjęciu ujrzano twarz zakrwawioną z wysadzonem kulą prawem okiem; nadto czaszka przeszyta była na wylot kulami rewolwerowemi tak, że na włosach widniały ślady mózgu. Obok leżała czapka zielona z 2 skrzyżowanemi nad daszkiem młotkami.

Zaalarmowany stróż, jakoteż woźni bankowi, poznali w zabitym owego bandytę, który starał się wymusić od dyrektora 1000 rb.



Tajemnicza tragedya w banku: C. Sulima Ułanowski, bandyta zabity w Banku handlowym w Warszawie.

Doraźne śledztwo nie wyjaśniło bliżej sprawy. Urzędnicy rozeszli się z banku po piątej, a stróż wieczorem zamknął też bramę od ul. Włodzimierskiej na zatrzask od wewnątrz i poszedł do swego mieszkania, gdyż w gmachu bankowym nie ma lokatorów, tylko same biura, więc nie potrzebował siedzieć przed bramą. Ale strzałów nie słyszał, tak samo jak warta wojskowa, kwaterująca w podwó-



Tajemnicza tragedya w banku: Warta znajduje w bramie Banku handlowego w W. zawie zamordowanego bandytę.

rzu dla ochrony skarbca bankowego, ani policya na ulicy. Nie ulega wątpliwości, że bandytę zgładzili owi trzej nieznajomi, przybyli do banku o g. $3\frac{1}{2}$ popołudniu.

Nazwisko zabitego, Sulima Ułanowski, drukowane dla rekomendacyi także na biletach wizytowych,



Fot. B. Fläschner w Tarnopolu.
Nieszczęśliwy wypadek: Poczekalnia zbaraskiej kolei w Tarnopolu z karkołomnymi schodami, po których podróżni muszą przechodzić na główny dworzec.

jest zmyślone. Prawdziwego policya jeszcze nie zna. Według zaś krążących wersyj, człowiek ów w uniformie studenta politechniki, należał niegdyś do jednej ze skrajnych partyj, lecz usunięty za nadużycia, zajmował się zawodowo wyłudzaniem pieniędzy niby na cele partyjne. Znano go z tego w instytucyach bankowych w Warszawie, lecz nigdy przedtem nie udało mu się wyłudzić grubszej sumy. Kiedy zapragnął większego łupu — przypłacił to życiem.

W Warszawie opowiadają sobie, że ów zabity w tajemniczych okolicznościach bandyta, używający paszportu na nazwisko Celestyna Sulimy-Ułanowskiego, już od roku zostawał w usługach policyi, że przez ten czas powydawał mnóstwo osób i kół organizacyjnych, że swego czasu jako ajent prowokacyjny rzucił był bombę pod pielgrzymkę częstochowską, idącą ulicą Chłodną itd.

Według ostatnich wiadomości, aresztowano w powyższej sprawie kilku woźnych banku oraz stróżów, a nadto rządcę domu pana Niemirowskiego, któremu podobno zabójcy zakazali dawać policyi znać o fakcie.

Nieszczęśliwy wypadek.

Na torze zbaraskim na stacyi kolejowej w Tarnopolu padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku 30-letni konduktor Józef Eichelberg, ojciec sześciorga dzieci. Wieczorem po odbytej służbie wracając do domu, blisko toru nowej kolei zbaraskiej położonego, chciał skrócić sobie drogę i w tym celu szedł właśnie po owym torze. Nie wiedział jednak, że tamtędy przesuwają w tej chwili wagony towarowe, to też niespodziewanie dostał się pod koła nadjeżdżającej właśnie lokomotywy, która zmiażdżyła go. W oddaleniu kilkudziesięciu metrów odnaleziono trupa zmienionego nie do poznania.

Z powodu powyższego nieszczęścia korespondenci z Tarnopola zwracają uwagę na różne wadliwe i mogące w przyszłości stać się przyczyną fatalnych wypadków, urządzenia nowej kolei zbaraskiej na tamtejszym dworcu, którego fotografię załączamy. Dla przestrogi przedkładamy tu właśnie na drugiej fotografii widok niekrytych, karkołomnych schodów, któremi pasażerowie muszą przechodzić w czasie zimy lub słoty na główny dworzec. Dość spojrzeć na te wąskie schodki, żeby sobie wyobrazić, ile przedstawiają niebezpieczeństwa. Póki pora tedy, należy zapobiedz nieszczęśliwym wypadkom

Zamach na naczelnika stacyi.

Trzej nieznani sprawcy dokonali w tych dniach w Warszawie zamachu na naczelnika stacyi. Urzędnik drogi Ż. warsz. petersburskiej i zawiadowca stacyi Warszawa p. Afanasjew wyszedł wieczorem



Fot. B. Fläschner w Tarnopolu.
Nieszczęśliwy wypadek: Dworzec nowej kolei zbaraskiej na dworcu w Tarnopolu.

ze swego mieszkania na dworcu petersburskim na przedmieściu Praga i wsiadłszy do dorożki, kazał się zawieść na ul. Mazowiecką. Już zjeżdżając z Pragi na most Aleksandrowski, zauważył, że tuż za nim również dorożką jedzie trzech mężczyzn w odzieży robotniczej, którzy go bacznie śledzą. Dorożki obie jedna za drugą toczyły się dalej aż na Mazowiecką, gdzie przed domem nr. 8 gdy tylko naczelnik stacyi wysiadł, wyskoczyli i tamci i zasypali Afanasjewa gradem kul rewolwerowych. Przerażony, jakkolwiek jeszcze nie zraniony, wbiegł w bramę domu by skryć się do stróża, lecz tutaj padł u drzwi trafiony dwiema kulami, które na wylot przeszyły mu lewą nogę i lewą rękę. Słysząc jęki ranionego, napastnicy zbiegli, a Afanasjewa opatrzył lekarz w tym samym domu. Życiu ofiary napadu nie grozi niebezpieczeństwo.



Zamach na naczelnika stacyi: Brama domu przy ulicy Mazowieckiej w Warszawie, gdzie dokonano zamachu na zawiadowcę stacyi kolei petersburskiej.

Samobójstwo młodego dziennikarza we Lwowie.

(Do artykułu na stronie 10.)

We wtorek ubiegłego tygodnia odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru jeden z najmłodszych dziennikarzy lwowskich, ukończony student filozofii, Leon Laszkiewicz. Samobójstwo popełnił on rano w zacisznej alei parku Kilińskiego. Zwłoki desperata znalazł w chwilę później pewien żołnierz przechodzący tamtędy przypadkiem i zawiadomił o tem policyę. Komisya, która przybyła na miejsce, nie znalazła przy denacie żadnych papierów, tak, iż początkowo nie wiedziano, kim jest ów samobójca. Dopiero w zakładzie medycyny sądowej znaleziono w ubraniu denata kartkę z następującemi słowami: „Kończę, ponieważ nie chcę dogorywać powoli na suchoty. Leon Laszkiewicz“.

Zmarły tak tragicznie Leon Laszkiewicz liczył zaledwie 23 lat. Już jako uczeń gimnazyum w Złoczowie a następnie w Brodach, odznaczał się wybitnemi zdolnościami i gorącem uczuciem patryotycznem. Przybywszy na uniwersytet lwowski i zapisawszy się na wydział filozoficzny, rzucił się z zapałem w wir życia akademickiego, pracując w wydziałach Bratniej pomocy, Czytelni akademi-

ckiej, akad. koła T. S. L., w zarządzie „Ogniwa“, w redakcyi czasopisma młodzieży „Teka“. Nadto wyjeżdżał często na prowincyę, bądź to z odczytami dla ludu wiejskiego, bądź jako referent wieców ludowych polskich, których w ubiegłym roku tyle się odbyło w naszym kraju. A każdej pracy, przez się podjętej, oddawał się całą duszą, poświęcał wszystkie swe siły, nie bacząc na trudy, nie bacząc na zdrowie własne, które coraz bardziej szwankowało. Ideałem jego i celem, obok pracy społeczno-narodowej, było spolszczenie gimnazyum niemieckiego w Brodach. Poruszył on tę sprawę w „Tece“, potem w „Słowie Polskiem“, zwołał wiec byłych uczniów tego gimnazyum i ostatecznie doczekał się uchwały sejmowej, żądającej od rządu spolszczenia gimnazyum.

Dziennikarstwu poświęcił się nie dawno, wstąpiwszy do redakcyi „Słowa Polskiego“, i pracował ponadto w „Ojczyźnie“ i „Sztandarze“ oraz był korespondentem „Gazety warszawskiej“ i „Dzwonu polskiego“.

Przedwczesny a tak tragiczny zgon młodego dziennikarza, pełnego zapału i zamiłowania zawodu, wywołał we Lwowie szczery i ogólny żal.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne zwłok samobójcy w godzinę po ich znalezieniu oraz jego ostatnią podobiznę.



Fot. M. Münz, Lwów.

Zjazd urzędników »Floryanki«: Grupa uczestników zjazdu wraz z prezydyum.

Zjazd urzędników „Floryanki“.

Po raz pierwszy od czasu istnienia największego z towarzystw asekuracyjnych w Polsce — Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń — odbył się zjazd jego urzędników. Takie wspólne zebranie ludzi pracujących w różnych stronach kraju dla najpotężniejszej instytucyi finansowej w Galicyi, zacieśniło — rzecz naturalna — węzły koleżeństwa, co może mieć tylko dodatni wpływ i poważne korzyści tak dla samych pracowników, jak i dla Asekuracyi krakowskiej. W ciągu dwóch dni w biurach reprezentacyi Towarzystwa we Lwowie obradowało nad polepszeniem bytu, w imieniu ogółu kolegów, czterdziestu delegatów z biur dyrekcyjnych, działu życiowego i wszystkich filij Towarzystwa w Galicyi, na Bukowinie i Morawach. Po ożywionej dyskusyi uchwalono szereg postulatów i rozolucyj w kwestyi bytu urzędników, emerytury, długów itp. spraw, przedstawić dyrekcyi Towarzystwa przez osobny komitet, w którego skład weszło prezydyum zjazdu, mianowicie pp: Gadulski, Biskupski, dr. Darzewski, Dziedzicki, Miszkiewicz, Mierczuk i Bursa.

* * *

Zbiorową fotografię tego komitetu załączamy w niniejszym numerze.

Z karnawału we Lwowie.

Krótki, zaledwie pięć tygodni trwający karnawał tegoroczny, jest — przynajmniej we Lwowie — ogromnie ożywiony Dzień w dzień odbywa się po kilka zabaw większych prywatnych, a bardzo często i po kilka zabaw publicznych. Mimo biedy, na którą wszyscy się skarżą, mimo szalonej drożyzny, ludziska bawią się ochoczo, jakby w tanach przy skocznej muzyce szukali zapomnienia o troskach i kłopotach. Chcą też sobie zapewne powetować karnawał zeszłoroczny, w którym z powodu ówczesnych wypadków pod zaborem rosyjskim nie bawiono się wcale.

W ubiegłym tygodniu odbyły się dzień po dniu, w czwartek, piątek i sobotę, trzy wielkie bale: rymanowski, przemysłowy i lekarski na sanatoryum dla piersiowo chorych. Najlepiej wypadł sobotni bal lekarski, choć dorównał mu pod względem wyborowej zabawy bal rymanowski Mnóstwo młodych i pięknych danserek, prześliczne toalety, zastępy dziarskich fikalskich, wszystko to złożyło się na powodzenie zabawy. „Clou“ balu rymanowskiego stanowił kulig krakowski. Przy dźwiękach miłego krakowiaka, wpadł on do pięknej, przystrojonej sali Filharmonii z szumem, tupotem i wichrem. Trzydzieści par młodzieży, w prześlicznych, złotem lśniących, wzorzystych strojach krakowskich, dziewuchy jedna w drugą piękne, zarumienione, pełne życia, chłopaki ogniste, na schwał. I sunęły para za parą Krakusy z Krakowiankami, za nimi kilka par cyganów, znaleźli się też dziedzic i dziedziczka w polskich strojach, oraz typowy organista. Był to widok niepowszedni, pięknością swą, urokiem swojskości niedorównany, musiał też każdego za serce ująć. I choć „najście“ kuligu przerwało na dłuższą chwilę ochocze tany, nikt się nie żalił, lecz wszyscy z całem zadowoleniem przypatrywali się udatnym, doskonale zaaranżowanym produkcyom „krakusów“. Huczne oklaski, jakimi publiczność zebrana na balu, żegnała odchodzący kulig, były słabym tylko wyrazem uznania i zadowolenia.

* * *

Zdjęcie fotograficzne „wesela krakowskiego“, zrobione podczas balu rymanowskiego w sali Filharmonii przez jednego z przyjaciół naszego pisma, zamieszczamy w niniejszym numerze.



Z karnawału we Lwowie: »Wesele krakowskie« na balu rymanowskim w sali w Filharmonii we Lwowie.

Nowy minister marynarki rosyjskiej.

Tak ciężko dotknięta na swym honorze wojskowym Rosya w czasie ostatniej wojny z Japonią, stara się przynajmniej po części popełnione błędy naprawić i reorganizuje swą siłę zbrojną na lądzie i morzu. Jeżeli już porażki wojsk lądowych, jak pod Liaojanem lub Mukdenem, okazały się dla oręża rosyjskiego nader smutnymi faktami, cóż dopiero można powiedzieć o morskiej bitwie pod Cuszimą, gdzie marynarka rosyjska spisała się podobnie, jak włoska w 1866 roku w bitwie pod Lissą.

Nic tedy dziwnego, że dotychczasowy rosyjski minister marynarki, Birylew, musiał ustąpić — jego szczęście, że nie był wysłany na wody wschodnio azyatyckie — a tekę ministra marynarki powierzył cesarz admirałowi Dikowowi. Los admirała Niebogatowa, ostro ukaranego przez sąd wojenny, byłby Birylewa niezawodnie nie minął.

* * *

Nowy rosyjski minister marynarki jest przybocznym adjutantem cesarskim, a przytem osobistością wielce na dworze lubianą. Wstępuje na swe stanowisko w okolicznościach bardzo trudnych, bo wojenna flota rosyjska tak dobrze, jak nie istnieje, a oprócz tego w organizacyi jej postanowiono przeprowadzić zasadnicze zmiany, mające na celu usunąć olbrzymie nadużycia, które były rakiem toczącym zarząd marynarki rosyjskiej. Stosunki zatem minister Dikow zastaje niełatwe.



Nowy minister marynarki rosyjskiej: Admirał Dikow, następca Birilewa.

W sprawie naszej Wielkiej Szarady do nagrody.

Stosownie do zapowiedzi w numerze 51. naszego pisma, o przyznaniu nagród za dobre rozwiązanie szarady, rozstrzygnęły ciągnienia loteryi liczbowej jak niżej. Według tych ciągnień, wygrały następujące serye i numery:

Rozwiązanie szarady: **Szelka.**

Serye:

Loterya berneńska: (ciągnienie 30 stycznia) 86. 6. 45. 18. 85.

Loterya gracka: 24. 14. 28. 23. 23.

Loterya tryesteńska: 89. 38. 11. 3. 51.

Numera:

Loterya pragska: 68. 90. 18. 62. 51.

Loterya lwowska: 10. 90. 55. 14. 42.

Loterya lincka: 77. 83. 64. 84. 51.

Nagrody otrzymali więc:

1. Nagr. p. A. Falkowska Warszawa.
2. „ „ St. Gumulka Siedliska.
3. „ „ Kamila Piątek Paszczyna.
4. „ „ St Straszewski Kuty.
5. „ „ Wł. Kupczyk Warszawa.
6. „ „ Olga Kotowiczówna Lwów.
7. „ „ Czesław Lisowski Warszawa.
8. „ „ A. Dunikowski Bolamowice.
9. „ „ M. Dunlewska Warszawa.
10. „ „ Aniela Wiessner Karlsbad.
11. „ „ Tadeusz Kupczyński Kalisz.
12. „ „ Wilhelm Knapp Chlebowice.
13. „ „ C. K. Posterunek żand. Krzywca.
14. „ „ A. Merzowiczowa Wierzbowce.
15. „ „ Marya Zalewska Kraków.

Z lwowskiego bruku.

(Straż czy warta honorowa na ulicy Batorego i moje bezpieczeństwo. — Protest przeciw wyprowadzeniu się konsula rosyjskiego. — Demonstracye bez nosa. — Powódź balów i długość ich spisu. — Nieco o strasznych skutkach karnawału. — Lwowscy kupcy w karnawale. — Autentyczna historya o pewnym rentierze, jego synie i aktorce, czyli trafność informacyi, czyli nie wywołuj wilka z lasu, czyli jeszcze inne czyli.

Z powodu aresztowania stu kilkudziesięciu ruskich akademików, ulica Batorego gdzie mieszczą się sądy i więzienie, stale strzeżona jest przez policyę a ja, który mam honor mieszkać przy tejże ulicy, wydaję się sam sobie jakimś wysokim dygnitarzem, bo przed mojem mieszkaniem mam stale w dzień i w nocy wartę pieszą i konną. Teraz dopiero zrozumiałem miłe położenie konsulów pruskiego i rosyjskiego, którzy stale mają taką straż. Tylko tę jedną mam nieprzyjemność, że ile razy wracam do domu, jakiś ajent policyjny idzie za mną krok w krok, aż do samej bramy i stara się odgadnąć, czy mam w kieszeni kamień, rewolwer lub bombę. Zawdzięcza jednak ruskim akademikom ulica Batorego, że od tygodnia nie zdarzyła się tu żadna kradzież, bo lwowscy złodzieje operują teraz na wszystkich innych ulicach, gdzie o policyanta obecnie jeszcze trudniej niż o polano drzewa.

Czuję się więc teraz silnym i bezpiecznym co najmniej tak samo, jak konsul rosyjski p. Pustoszkin, który w lecie wyprowadził się za miasto, mimo silnego protestu fukowców. Ci bowiem twierdzili słusznie, że rosyjski konsulat powinien mieścić się w samem śródmieściu, aby go zawsze mieć pod ręką, ile razy zajdzie potrzeba urządzenia demonstracyi z biciem szyb konsularnych, bo nie można go gdzieś chodzić szukać aż pod park stryjski, dokąd trzebaby jechać tramwajem.

Wogóle demonstracye polityczne we Lwowie zaczynają tracić urok i powab pierwotny, gdyż mijają bez echa, bez jednej kropli krwi, bez wrażenia.

W niedzielę socyaliści urządzili pochód pod teatr i widać było, że publiczność nie przyłącza się do pochodu, a tylko jedyna policya piesza i konna bierze jeszcze chętny udział w pochodzie, utrzymując nastrój i porządek. Na dobitek wszystkiego „Słowo Polskie“ w swym kiosku, w którym żywioły rewolucyjne wybijały codziennie coraz nowe szyby, wstawiło teraz szyby drewniane, czyli zwykłe deski zalepione papierem, co poprostu psuje każdą ważniejszą demonstracyę, odbierając jej efekt końcowy, ile że demonstranci nie wiedzą teraz, na czem mają zakończyć demonstracyę. Słowem nasze demonstracye nie mają nosa.

Za to karnawał tegoroczny ma nos aż nazbyt długi, bo daje się ciągnąć każdemu na wszystkie strony. Poprostu rozrywają go. Takiej powodzi balów, redut i wieczorków nie pamięta najstarsza naiwna teatru ludowego i ludzie, którzy już za czasów Radetzky'ego byli starymi feldweblami z medalem na walecznej piersi. Sam spis balów i wieczorków umieszczonych „in continuo“ w jednym z tutejszych dzienników wynosi 1 m. 78 ctm. a więc na miarę żołnierza austryackiego, a nawet coś ponad miarę. Zawodowi fikalscy już po cztery razy na tydzień dają mokrą bieliznę do prania i jeszcze nie mają dosyć. Trzy krawczynie poszły do Kulparkowa, dwadzieścia i kilka kona powoli z wycieńczenia, a jedna popełniła niezwykłe samobójstwo, czy tylko zamach samobójczy, połknąwszy w roztargnieniu albo z desperacyi dwa tuziny szpilek, na szczęście z główkami na dół. Ta ostatnia okoliczność uratuje ją i szpilki, ale nie uratuje już jej klientki, która przez to spóźniła się na wieczorek i straciła dobrą partyę. Konkurent bowiem po pijanemu oświadczył się tymczasem innej, co prawda mężatce, ale prawie wolnej, bo mąż ma zamiar tymi dniami kłapnąć w domu obłąkanych, dokąd zawieziono go wprost po posiedzeniu komitetu balowego, którego był głównym członkiem i doradzcą jaśnie wielmożnej protektorki.

To, co tegoroczny karnawał „narobił“ i jeszcze dalej wyprawia we Lwowie, nie da się nawet spisać na wołowej skórze, choćby ten wół nic nie wiedział o drożyźnie mięsa i rósł bez pamięci na pociechę konsumentów i rzeźników. Najlepiej na tem wyszli kupcy, którzy wysprzedali wszystko do nitki i nieraz nawet w braku towaru na składzie, zmuszeni są nagabującym odbiorcom sprzedawać rzeczy zdejmując je na żądanie wprost ze siebie, jak krawatki, zarzutki, manszety, kołnierzyki, szelki, skarpetki itp. balowe przedmioty. Jeżeli lwowscy kupcy w tym sezonie nie podreperują swoich interesów i nie ufundują się na przyszłość na całe życie, to będę miał o nich najgorsze pojęcie i nie mogę im wróżyć dobrej przyszłości. Niektórzy z nich już pokupywali nowe kamienice, a inni palą już dwa razy dziennie w piecach prawdziwem drzewem opałowem, co we Lwowie jest nieomylnym znakiem zamożności a nawet bogactwa...

Ciekawą dykteryjkę ze świata towarzyskiego zachowałem na sam koniec. Młody, przystojny i jedyny syn bogatego rentiera tutejszego, jest praktykantem przy jakimś urzędzie, co mniej ważne dla nas. Ważniejszem jest, że ten młody, a ognisty facet zakochał się na zabój w pewnej artystce i nawet postanowił ożenić się z nią za każdą cenę. Ojciec, pan rentier, był zrozpaczony. Chyba po moim trupie — powtarzał sobie i robił wszystko możliwe, aby syna odwieść od szalonego zamysłu. Próbował wprzód po dobremu, potem brał się do syna ostro — ale nic z tego. Wreszcie wstrzymał mu pensyę miesięczną. I to nie pomogło. Wtedy pomyślał stary, że aktorka jest aktorką i zapewne uda się dowieść synowi, że nie jest mu ona znowu tak bardzo wierną, ażeby aż warto było żenić się z nią i dać jej swoje nazwisko. W tym celu uprosił jednego ze swoich znajomych, aby przypuścił szturm do serduszka artystki i nie żałował kosztów. Równocześnie prosił o to samo jeszcze dwu przyjaciół. Z trzech stron przypuszczano codziennie szturmy do twardej artystki, lecz bez skutku. Wracały bukiety, wracały brylanty, wracały listy nieotwierane i nieczytane. Po ośmiu dniach przyjaciele złożyli swoje mandaty nie zdziaławszy nic, a stary rentier wyrywał sobie resztki włosów z łysej głowy.

— Już wiem — kalkulował rentier — ona teraz ostrożna, bo ma przed sobą tak świetną partyę, więc nie może i nie chce ryzykować, ale jej przeszłość — ta przeszłość artystki musi mieć jakiś ciemny punkt, jak zwykle, który mógłby być decydującym w tej sprawie, bo przecież mój syn nie zechce mieć żony z taką przeszłością! Ale jakby się zabrać do tego? Tajnych detektywów we Lwowie nie ma, więc tylko chyba przez jakieś dobre biuro informacyjne i to nie ja, ale ktoś trzeci musi zasięgnąć informacyi co do przeszłości tej kobiety, np. mój przyjaciel X.

I tak zrobił. Pan X. zażądał od biura informacyjnego „Prawda“ dokładnej informacyi co do przeszłości i całego prowadzenia się artystki Y. do dni ośmiu. Informacya, którą po ośmiu dniach pan X. złożył w ręce p. rentiera, brzmiała:

„Panna Y. pochodzi z bardzo dobrej i uczciwej rodziny urzędniczej z prowincyi i odebrała bardzo staranne i cnotliwe wychowanie. Już w szesnastym roku życia córeczki, zwrócono rodzicom uwagę na niezwykły jej talent sceniczny więc rodzice po pewnem wykształceniu przedwstępnem oddali ją na scenę. Jej konduita i prowadzenie się było i jest ze wszech miar moralnem i nic ujemnego nigdy o niej nie słyszano. W ostatnim czasie nawiązał z nią bliższy stosunek syn pewnego rentiera lwowskiego, dawniej kupca, znanego z najgorszej strony. Ojciec, ów rentier, nagabywał artystkę wielokrotnie przez swych przyjaciół, przesyłając jej upominki i kwiaty, aby ją odbić synowi i zatrzymać dla siebie w innym charakterze. Lecz artystka na te propozycye ojca nie chciała się zgodzić.

Klewe.

ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

7. przełożył z włoskiego W. Ż. K.

— Jak się nazywa ów pan, który tu około północy, z wtorku na środę, przybył z kobietą zakrytą welonem i zawiniątkiem? — zapytał Aleksandrowicz portyera.

— Zapisał się w książce meldunkowej: Giovanni Brorvi — odpowiedział portyer.

— A owa kobieta?

— Niby żona — tak podano w książce — ja nie wiem.

— Kiedy opuścili hotel?

— Kiedy? nie pamiętam; aha! tak, tak, zaraz, już wiem, rano odeszli. Tyle gości, to trudno pamiętać.

— Odeszli? a kto za niemi poniósł pakunki?

— Nikt; sami je ponieśli.

— To nie możebne. Bogaty, elegancki człowiek nie zwykł sam nosić wielkich zawiniątek.

— A to nie uważam. Może kto za nimi zaniósł; nie pamiętam. Tyle osób się kręci, jakże pamiętać.

— Jak ten pan wyglądał?

— Jak? Nie wiem. Noc była, trudno od razu zapamiętać. Przecież nie mogłem mu się przypatrywać, jak złodziejowi.

— No, no, nie tędy droga mój portyerze. Na żarty nie pytam, żartować tu nie przyszedłem.

— A no, cóż mam powiedzieć? Piękny pan, okazały.

— I nic więcej?

— A nic. Dalibóg nie wiem, nie pamiętam.

— Nie szkodzi. Zostawiam dość czasu do przypomnienia sobie wszystkiego.

Portyer odszedł, Aleksandrowicz wstał i na odchodnem rzekł do właściciela hotelu:

— Prawdopodobnie będę pana jeszcze niepokoił tą sprawą, ale bardzo proszę, abyś pan dobrze sobie wszystko przypomniał i portyerowi polecił lepszą mieć pamięć.

Aleksandrowicz nie wątpił już, że sprawcy morderstwa tu byli, a nasuwało mu się też podejrzenie dość jaskrawe, iż właściciel hotelu i portyer wiedzą, jakich mieli gości. Postanowił użyć tu do czuwania i dochodzenia sprawy, nieznanego nikomu ajenta, najlepiej może Piotra, który wiele sprytu i zręczności okazywał. Wracał ku domowi przez via Lorenzo, zwykle bardzo ożywioną, ruchliwą. Tłok był wielki, Aleksandrowicz musiał się zatrzymać, a w tej chwili przejechał eleganckim ekwipażem okazały, młody mężczyzna i na widok ajenta drgnął, zasunął się w głąb powozu i w przeciwną stronę twarz zwrócił. Nie dostrzegł tego Aleksandrowicz i nie przeczuwał, że to przejeżdżał morderca z Salita Santa Nicola.

VIII.

Tyran i ofiara.

W kilka minut potem, zatrzymał się ów elegancki ekwipaż przed Pallaro Balboni, w którym mieszkała Elena Luidgarde. Z powozu wysiadł conti Alfonso di Montegretto i pospieszył na schody. Elena oczekiwała go, jak zwykle, w buduarze gdzie z całą swobodą przebywali.

— Miałem małą przygodę — rzekł hrabia na wstępie.

— Może ci się co złego wydarzyło?

— Ależ nie wcale. Nazywam przygodą małe wzruszenie, które było niepotrzebnym zbytkiem... Wyobraź sobie, że jadąc tu, spotkałem słynnego ajenta policyi, Aleksandrowicza, który śledzi sprawców ze Salita Santa Nicola.

— O mój Boże!

— Ależ nie lękaj się! Spojrzał on na mnie takim wzrokiem, jakim patrzy tłum na wielkiego pana i nic więcej. Ani mu przez myśl nie przeszło, kogo to widział w powozie. Ja doznałem nie miłego wzruszenia, to prawda, ale jak widzisz było zbyteczne.

— Czyż nie domyślają się jeszcze?

— E, e, niedołęgi, prawdziwe niedołęgi.

I roześmiał się conte Alfonso z takim piekielnem szyderstwem, że Elena drgnęła i boleśnie twarz skurczyła.

— Tak, powiadam ci Eleno, że to gapa! ha! ha! — i śmiał się conte Alfonso coraz głośniej, coraz weselej.

— Na miłość Boską, badajże spokój. To straszne. Jak możesz śmiać się i żartować?

— Ależ bo to zabawne prawdziwe. Wiesz, że wpadło mi na myśl posłać policyi pięćset franków jako nagrodę dla tego, kto wykryje mordercę. Co? toby była doskonała komedya.

— Żarty niewłaściwe ,mój drogi.

— Żarty, żarty! Przecież tragicznie tej całej historyi pojmować nie mogę. I cóżeśmy zrobili. Ty pragnęłaś się uwolnić od męża tyrana, który życie twe złamał, zdeptał, który cię unieszczęśliwił, a ja ci w tem pomogłem. W jaki to sposób uczyniłem, to obojętne. Mogłem go był wyzwać na pojedynek i zastrzelić, a wtedy uchodziłbym za bohatera romansu, za rycerskiego obrońcę dręczonej kobiety. Zamiast tego, zabiłem go, a to jedno i toż samo; czy tak, czy owak życie stracił; to przecież dla niego obojętne. Jesteś wolną, pozbyłaś się tyrana, więc dlaczego takim gęstym kirem żałoby pokrywasz Santa Nicola? Odwróć się od wspomnień przeszłości, a myśl o tem pięknem jutrze, które nas czeka.

— Morderstwo! — wyszeptała Elena.

— Morderstwo powiadasz? Nie moja najdroższa, to nie morderstwo, to kara śmierci, na którą zasłużył ten, przez którego cierpiałaś tak wiele, przez którego życie było ci piekłem. Byliśmy sądem dla niego, sądem sprawiedliwym, a zarazem sądem wykonawczym najsprawiedliwszego wyroku. Po co te czułostkowości? precz z nimi. Bierz rzecz rozważnie, rozumnie. Niczego sobie wyrzucać nie możesz...

— A jednak dręczy mnie straszny niepokój; a jednak zdaje mi się, że trzeba było inaczej postąpić.

— Inaczej? Może być, ale tak czy owak, on żyć nie mógł. Im prędzej usunął się, tem lepiej dla niego i dla nas.

— A jeżeli nas wyśledzą?

— E, e, bądź spokojna. Oko policyi nie ośmiela się wdzierać do pałaców i za okna karet. Nawet z wyjazdem nie ma pośpiechu. Jeżelibym dostrzegł że nam coś zagraża, wyjedziemy zaraz do Wenecyi, pod pozorem wycieczki, dla przyjemności urządzonej. Z Wenecyi łatwo schronić się do Austryi, czy do krajów bałkańskich. Tymczasem spokojnie patrzmy w przyszłość. A wiesz, co mnie też bawi. Oto dzienniki. Doskonałe! Czego też nie piszą reporterzy. Każdy wie co innego, każdy podaje rady policyi, czyni wskazówki przeróżne. Są tacy, co zapewniają, że widzieli mordercę, że ukrywa się nad brzegami morza. A zatem spijmy jeszcze spokojnie, dopóki Aleksandrowicz z uszanowaniem spogląda na panów w ekwipażach, dopóki dzienniki bałamucą siebie i czytelników.

Elena zaczęła się uspokajać. Tak; ten, co tam padł ofiarą w Salita Santa Nicola, to tyran, to demon jej życia — myślała teraz według słów Alfonsa — należała mu się kara, a jej wyzwolenie. Myśli jej cofnęły się wstecz, w niedaleką przeszłość i obrazy przeszłości zaczęły się przed oczyma przesuwać.

Przypomniała sobie, jak syta tryumfów wszelkich, bogata, pragnęła znaleść męża i porzucić scenę. Pragnęła męża, któryby jej przeszłość, zakrył swojem nazwiskiem, a przyszłość dał spokojną. Pragnęła męża, któryby jej otworzył wrota do wyższego świata towarzyszkiego, jak tylu innym aktorkom i baletnicom powiodło się nieraz.

I zdarzyło się dla niej szczęśliwie, że właśnie wśród tych marzeń poznała barona Pettko. Był to bogaty pan z Moraw, człek nie młody wprawdzie, ale postawny elegancki, układny. Zakochał się w Elenie i już po trzech tygodniach znajomości oświadczył się o jej rękę.

Elena zażądała ośmiu dni zwłoki do namysłu. Nie namyślać się chciała, ale dowiedzieć, czy baron naprawdę taki bogaty jak mówi. Dowiedziała się, że ma dobra ogromne, pozycyę towarzyską bardzo poważną, wybitną. To jej wystarczyło, zgodziła się na małżeństwo i wkrótce została baronową Pettko.

Była pewną, że wdziękami i wypróbowaną kokieteryą tak roznamiętni, tak zawojuje sześćdziesięcioletniego męża, iż będzie jej niewolnikiem, jak niewolnikami byli rozliczni wielbiciele. Roiła sobie, że będą mieszkali w stolicy, conajmniej w Wiedniu, jeżeli już nie w Paryżu, że będzie bawiła się w dystyngowanem towarzystwie, a może w niem i królowała, że majątek męża będzie na jej rozkazy. Tak sobie układała, tego się spodziewała i w to wierzyła.

Rozczarowanie było straszne. Baron zawiózł żonę na wieś i do miasta wyjechać z nią nie myślał; on chciał mieć żonę dla siebie, a nie dla świata. Wprawdzie z początku bawiła ją nowość, zajmowały mury starego pałacu, urządzenia gospodarskie, biblioteka i zbrojownia; podobały się jej stare portrety rodzinne i rodowe pamiątki; cieszyły ją nawet stajnie i stadnina, zadowalniały ją oznaki uszanowania ze strony licznych oficialistów i służby; rola baronowej, rola żony zamożnego właściciela dóbr, sprawiała jej przyjemność. Ale nie długo to trwało, nie na długo starczyło tych nowych wrażeń. Wzrosła wśród gorączki życia, rozgrzana żarem nerwów, rozpalona płomieniem namiętności, potrzebowała upojenia rozczynem miejskiego chaosu. Sielanka wiejska zaczęła ją nudzić, potem męczyć, wreszczie dławić, dusić — więc nakłaniała męża, aby się przenieśli do miasta, bodaj na jakiś czas, aby jeno przerwać tę jednostajność, tę ciszę, ten spokój wsi, tak błogie, tak pożądane, tak zdrowe dla tych, co umieją stwarzać bogate światy we własnej duszy, a kochają to, co wyszło z rąk Bożych — przyrodę. Własnego świata wewnętrznego nie miała, mieć nie mogła. Wzrosła na barłogu życia miejskiego, toczyła się na jego śmietniku, aż ją los popchnął na scenę, gdzie się nauczyła kupczyć i uśmiechem i wdziękami i ciałem i duszą. Cisza wiejska była jej grobem, obowiązki gospodarcze niewolą, stanowisko żony ciężarem. Dławiła się tem wszystkiem, co ją otaczało.

Do tego obcą się tu czuła bardzo, nieznała języka ludności, jej zwyczajów i obyczajów. Szerokie równiny morawskie wydały się jej puste, smutne; wzrok jej uciekał po za ramy tych gór lesistych, które kraj otoczyły, a sinem pasmem nasuwały się jej oczom, gdy tęsknie z okien pałacu w dal spoglądała. Roiły się myśli, jej pragnienia poza one góry, na południe, na zachód, w dal ku miejskim mrowiskom.

Prosiła męża, błagała, aby wyjechali bodaj na kilka tygodni, ale baron odmawiał i wymawiał się. Zrazu uprzejmie z całą delikatnością dobrze wychowanego człowieka; potem gdy nalegania były coraz natarczywsze, zbywał je stanowczą odmową. Zakochany do szaleństwa w Elenie, zakochany nie tyle sercem, ile dogasającą już, a na nowo podsyconą jej wdziękami namiętnością, byłby się raczej murem chińskim od świata oddzielił, aby ssać resztą sił słodycz miłości cielesnej z tej uroczej kobiety. Więc Elena zaczęła być niezadowoloną, on podejrzliwym; ona grymaśną, niechętną, on zazdrosnym, złośliwym. Dręczyli się wzajem. Elenie zdawało się, że staje się ofiarą, jemu się zdawało że jest niewdzięczną. Wreszcie Elena zaczęła się uważać za męczennicę i uwierzyła w to, czy wmówiła siebie. W mężu widziała tyrana i jak tyrana zaczęła go nienawidzieć.

Wszystko to oświetlała sobie teraz wspomnieniami, a oczywiście w tem oświetleniu była wciąż udręczoną ofiarą, a baron zbrodniczym tyranem. Bardzo w porę poruszył te wspomnienia conte Alfonso; wiedział dobrze czem ma panować nad umysłem Eleny. To też snuł ten sam temat oskarżeń na owego tyrana, byle stłumić w Elenie skrupuły, czy wyrzuty sumienia.

— Przypomnij sobie to wszystko, coś przecierpiała. Przypomnij sobie to, co mi sama opowiadałaś.

— Nie, nie; nie chcę sobie nic przypominać!

— Ja ci przypomnieć muszę, abyś uwierzyła, żeśmy byli tylko narzędziami kary Boskiej na tego człowieka; abyś uwierzyła, że to, co się stało na Salita Santa Nicola, jest niczem w porównaniu z tem, coś od niego ucierpiała.

— Zlituj się, nie rozdzieraj serca.

— O, nic. To nie rozdzieranie serca, ale uspakajanie — mówił conto Alfonso, z coraz większym zapałem, mającym atoli dźwięk teatralnego deklamatorstwa. — Tak, to ku twemu uspokojeniu. Przypomnij sobie, jak znudzona na wsi, bez właściwego dla siebie towarzystwa, zniechęcona do tego tyrana, który ci odmawiał wszelkiej przyjemności, postanowiłaś porzucić go i wrócić do miasta. Serce twoje, dusza twoja, życie twoje zrosły się z miastem, z kulturą i powabem stolicy, wieś zabijała cię poprostu. Byłabyś to uczyniła, ale uczułaś, że będziesz matką. Dla tego dziecka, które miałaś na świat wydać, uczyniłaś z siebie ofiarę i zostałaś, jakby w niewoli. Ale pieszczoty męża stawały się coraz wstrętniejsze, usuwałaś się od nich, popadłaś w smutek, szukałaś samotności, a mąż tłomaczył to sobie niegodziwie. Zaczął cię ścigać podejrzeniami, uroił sobie, że mu się sprzeniewierzasz, prześladował cię zazdrością. Zdawało mu się, że na jego sekretarza więcej zwracasz uwagi, niż na niego. W zaślepieniu zazdrości uwierzył w to, że sekretarz posiadł twą miłość. A to było tylko urojeniem, tylko kłamstwem, co? prawda?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Od Wydawnictwa.

Naszym Szanownym Inserentom mamy zaszczyt niniejszem donieść:

Z d. 21 stycznia b. r. objęliśmy wydzierżawiony dotąd dział ogłoszeń we własny zarząd i będziemy go nadal sami prowadzili.

NASZYJNIK MISS ADY

4. NOWELKA.

Zdawało się jej, że czuje bicie jego serca, zadrżała pod jego płomienistym, pożądliwym wzrokiem, który tak głęboko w duszę zapadał. — „Wirowali dalej, jakby porwani jakąś siłą niewidzialną, a Węgier tryumfującemi oczyma wodził po sali za nimi. Czuł, że jest trzecią osobą w tym związku. Teraz tańczyli sami — lecz nie spostrzegli tego wcale. Wszyscy obecni spoglądali na nich z podziwem, a stary Screw dumnym był, jako ojciec, że swej córki....

W tem, przykry dyssonans przerwał melodyę, Węgier przerwał grę, czar rzucony przez niego prysnął... taniec się skończył....

Stanęli przed grupą chryzantemów. Miss Ada doznawała podniosłego, dotąd nieznanego jej uczucia. Po raz pierwszy, nie broniąc się przeciw zdobywcy, czuła, że jednak zwyciężyła. Serce jej uderzało gwałtownie — pierś falowała.... On stał tak blisko niej, że czuła jego gorący oddech. A zapach kwiatów był tak odurzający....

Naraz — co się stało? — szyby zadźwięczały, zahuczał potężny odgłos grzmotu, któremu towarzyszyły uderzenia silnego gradu i wycie rozkiełzanej wichury. Miss Ada instynktownie zwróciła się ku chryzantemom, które zasłaniały przed nią niszę okienną. Przy blasku oślepiającej błyskawicy zdawało się, że po za kwiatami ujrzała skuloną postać jakiegoś mężczyzny. Zlękła się....

Z tą samą obojętną miną, jaką zauważyła u niego przed tańcem — zmieniony zupełnie — baron podał jej ramię, mówiąc:

— Mamy burzę! Patrząc z okna mego mieszkania, czułem, że coś — jakby katastrofa — wisiało w powietrzu.

Ceremonialnie odprowadził ją do ojca, grzecznie się skłonił i zwrócił się ku drzwiom, prowadzącym do zimowego ogrodu. Miss Ada spoglądnęła za nim, straciwszy panowanie nad sobą, radość jej topniała jak śnieg. A więc nie zdołała go całkiem zdobyć! Szambelan i ojciec prawili jej najpiękniejsze komplementy — nie słyszała ich.

— Nigdy nie tańczyłaś lepiej — zapewniał stary Screw.

— Nigdy nie widziałem piękności więcej porywającej — zapewniał Belgijczyk — a oczy wszystkich obecnych nie mogły się oderwać od jej postaci.

Ona nie zwracała na to wszystko uwagi. Co jej na tem zależało, gdy on odszedł bez jednego słowa, spojrzenia, wyrażającego podziękę. Co on z nią uczynił? Czuła się bardzo nieszczęśliwą, zdawało się jej, że się udusi. Mechanicznie dotknęła się swej szyi, białej, jak lilia. W tem, nadzwyczajne odkrycie sprowadziło ją na poziom rzeczywistości. Zauważyła, że czegoś jej brakuje i spojrzała instynktownie do lustra — jej naszyjnik z pereł zniknął....

— Mój naszyjnik! — Wykrzyknęła półgłosem. Jej niezbyt głośny okrzyk znalazł natychmiast w sali głośniejsze echo, niż grzmot, który teraz wstrząsał górami.

— Naszyjnik perłowy! głośno zawołał szambelan.

I szybko z ust do ust, biegła wieść, że miss Ada zgubiła swój naszyjnik! Zaczęła się bieganina w największem zamieszaniu, orkiestra przestała grać polkę którą dopiero co zaczęła, a muzykanci wmięszali się w tłum szukających. Służba hotelowa zbiegła się w komplecie.

Tylko stary Screw pozostał niezwruszonym.

— Znajdzie się — powtarzał.

Musi się znaleść! Wszyscy szukali z gorączką poszukiwaczy złota między stołkami, roślinami, portyerami i trenami sukien. Ogromny majątek leżał tu gdzieś na podłodze, miliony....

— Naszyjnik! naszyjnik! wołali wszyscy.

* * *

Na dworze szalała burza i biły pioruny. Grad obcinał gałęzie, wicher wyrywał stare drzewa z korzeniami, dzieło zniszczenia odbywało się w zupełności.

Dwóch ludzi, nie bacząc na gwałtowną ulewę, spieszyło, co sił, na przełaj przez zarośla parku. Wiatr rozdymał ich długie płaszcze niby żagle

— Jak my się stąd wydostaniemy? — odezwał się starszy.

— Wprawdzie nie powozem, zaprzągniętym w czwórkę — odpowiedział wesoło młodszy — ale gdyby droga prowadziła przez Chimborasso musimy się wydostać. Fortuna doda nam skrzydeł

— Tymczasem jednak przemoczy nas do suchej nitki — mruczał stary.

Spieszyli dalej; młodszy był ciągle w wybornym humorze.

— Wielki zamach—grom towarzyszył jego słowom — wielki zamach udał się!

— Jeżeli nas nie złapią — wtrącił starszy. — Jeszcze nie jesteśmy bezpieczni razem z naszym skarbem. Już oni tam wyszlą za nami potężną sforę gończą. Naszyjnik! Oczy wszystkich były doń, jakby przykute. Uważałeś tę sępią fizyognomię starego Amerykanina? Ten nie puści nam płazem. Dzień, w którym złożymy nasz naszyjnik na ladzie sklepowej Marchanda, na rogu ulicy des Abbés, będę uważał prawdziwie za cudowny.

— A przecież tak się stanie! — wołał tryumfująco młodszy: — My, obaj stare lisy, dokażemy tego.

Potykali się o korzenie i kamienie, chociaż dolina była nieźle oświecona skutkiem nieustannych błyskawic.

— Wielki zamach udał się — zaczął znów optymista. Czuję na piersiach naszyjnik, czuję miliony. To było arcydzieło kunsztu z naszej strony.

— Tak jest! — potwierdził drugi. — Cięcie nożycami od drutu przed chryzantemy, było bajecznym pomysłem.

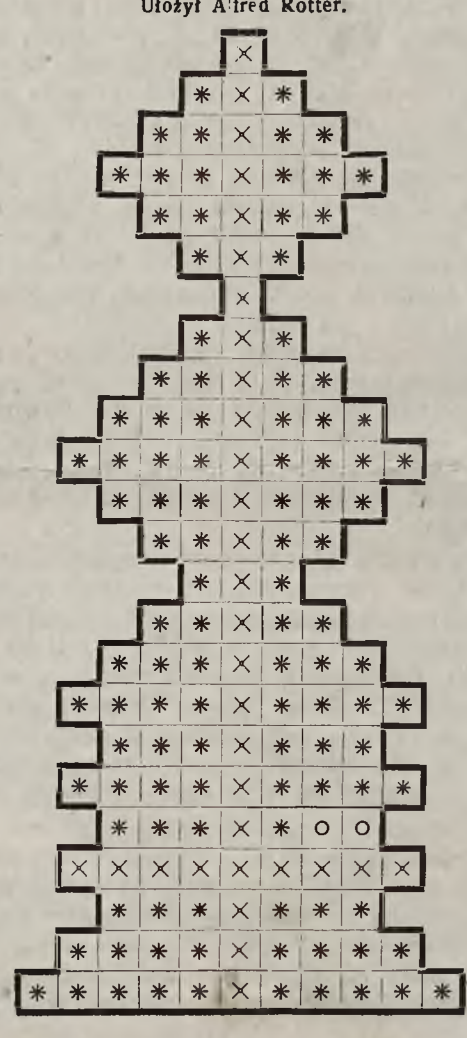
— Rzeczywiście, ale to arcydzieło wypadło jak na zamówienie. Zatrzymać się w tańcu właśnie przed chryzantemami! A jak niebo nam sprzyjało! Grzmot właśnie wtedy uderzył abym mógł ukryć w kieszeni ciężki naszyjnik, który zsunął mi się na rękę wtedy, gdy Amerykanka odwróciła głowę.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody

Arytmogryf.

Ułożył Alfred Rotter.



Gwiazdki i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko znanego powteściopisarza polskiego, oraz tytuł najnowszej powieści tegoż. Litery w rzędzie 21, dają również tytuł powieści tegoż autora.

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Kawał lodu płynący rzeką. 3. Imię męskie. 4. Inaczej mała rzeczka. 5. Państwo w Azyi. 6 Dowódzca tatarski. 7. Spółgłoska. 8 Rzeka w Galicyi 9. Drzewo szpilkowe, 10. Miasteczko w Galicyi na szlaku kolei Nowy Sącz-Orłów. 11. Imię żeńskie. 12. Wynalazca telegrafu bez drutu. 13. Kwiat rosnący między zbożem. 14. Rzeka w Egipcie. 15. Służy do ściekania wody z dachów. 16 Kraj koronny niemiecki. 17. Kwiat. 18. Inaczej pomoc. 19. Prowincya hiszpańska. 20. Ryba. 21. ? 22. Imię męskie. 23. Poeta polski. 24. Inaczej Królestwo Polskie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 4.

Arytmogryf

R
b o r
J a s s y
c h o m i a k
Z a b i e r z ó w
R o s m e r s h o l m
p a r a s o l k a
p a c h o l ę
p r o s o
a l e
m

Szarady.

Ha-la-bar da.

Arytmogryf.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Wł Dziewiński Kraków, Towarzystwo »Zgoda« i Fr. Niepokój Krosno, St. Gajdeczka Sieniawa, Związek kat. Krawców Kraków, Fr. Stiller Krowodrza, J. Czechowicz Mikołajów, K. Tinka Kołomyia, A. Sorowiecki Kraków, J. Baczyński Ropienka, A. Mussil Lwów, T. Mendys Tarnobrzeg, Zofia Ciechanowska St. Sambor, Wł. Hałdziński Lichwin, Fr. Kalita Gawłuszowice, K. Ludwig Borysław J. Czader Stara Wieś Cz. Nikosiewiczowa Krzywe, Wł Wiśniowski Turczynów, H Andrysik Dąb, Dr. Jan Kasparek Lwów, Ks. Jan Markiewicz Kolbuszowa, K Jasiński Kraków, A. Bo son Bóbrka, M. Pfeiffer Lwów, Fr. Kośmider N. Sącz, T. Domain Kołomyja, J. Łabuda Zabierzów, Marya Swiłkowa Rzeszów. W. Pytlik i M. Liskowski Krzywcza, Cz. Głęboki Kraków, R. Turczynowicz Podhajce, K Sokołowski Stanisławów, Marya Raidlmesser Swoszowice, B. Ramułtowa Jeżów, St. Spunda Skaja, Helena Zielińska Manajów, K. Fuchs Czeremchów, Leopolda Borów... Warszawa, A. Stadler Lwów, E Bogdalska Kropuż. Fr. Strugałówna Dzików. Dr Warmski Turka, Edzio Bogusz Lubarz, Marya Arbeshauer Lwów, I. Bazylewicz, Jaktorów, Al Trylowski Żabie, E Łaszkiewicz Dębica, J Badura Rożdzień, T Rossowski Kopyczyńce, Michalina Grabowska Milówka, Jan Haładej Górki, Henryka Zwilling Tarnów, F. Koniuch Kraków, K. Szpunar Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała P. Cz. Nikosiewiczowa w Krzywem. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Odpowiedzi Redakcyi.

P. M. Woiński w Jagielnicy: Aby módz ubiegać się o nagrodę, trzeba dobrze rozwiązać wszystkie zagadki, Szan. Pan rozwiązał tylko jednę a to nie wystarcza. — *P. Dr. Kasparek Lwów*: Nie podaliśmy wyników losowania z Nrów I. i II. ponieważ nie było żadnych nagród wyznaczonych za rozwiązanie w powyższych numerach. Prosimy o cierpliwość, a może się los i uśmiechnie!

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).